

wieś w literaturze polskiej



Wieś miała swoje miejsce w literaturze polskiej i różnie była w niej przedstawiana. Warto wciąż powracać do dawnych powieści, bo, jak każde arcydzieło, za każdym razem wnoszą czytelnikowi nowe wrażenia

Renesansowy mistrz polszczyzny, Jan Kochanowski, zapisał w „Pieśni świętojańskiej o sobótce”:

*„Wsi spokojna, wsi wesola
Który głos twej chwale zdoła?
Kto twe wczasy, kto pożytki
Może wspomnieć za raz wszystkie?”*

*Człowiek w twej pieczy uczciwie
Bez wszelakiej lichwy żywie;
Pobożne jego staranie
I bezpieczne królowanie”*

Mikołaj Rej zaś wcześniej, w „Żywocie człowieka poczciwego” tak opisywał życie na wsi: „Bo gdy przypadnie wiosna, azaż owo nie rozkosz z żonką, z czeladką po sadkach, po ogródkoch sobie chodzić, szczepków naszczepić, drobne drzewka rozsadzić, niepotrzebne gałązki obcinać, mszyce pozierać, krzaczki ochędożyć, okopać, trzaskowiskiem osypać?”. Dalej, pisząc o następstwie pór roku, tak tłumaczył zmiany w przyrodzie: „Wiosna nastawszy, ziemię ogrzawszy, zioła i drzewa rozliczne zazieleniwszy i kwiatki rozliczne umalowawszy, lato za sobą przywodzi; za latem zaś błotna jesień przychodzi, a za jesienią zaziębla a niewdzięczna zima. Także i ziemia wedle czasu każdą powinność swą okazać musi: z czasem się zazielenić, z czasem zażółcić, z czasem nazbyt zagorzeć, z czasem nazbyt rozmoknąć musi, także i zmarznąć a stwardzieć jako kość musi.”

Wieś miała zatem swoje miejsce w literaturze już na początku, w pierwszych księgach. Różnie była później przedstawiana - i jako Arkadia, miejsce wiecznej wiosny, gdzie sielankowi pasterze i pastreczki, szczęśliwi, grali na fujarkach; i jako źródło odnowy moralnej, pełne naturalnej prostoty i nieskalanej natury. Przedstawiano także ciemniejszą

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

ZIMOWY PORANEK NA WSI

*Pod białą kołdrą
chaty drzemią
a płoty jak żołnierze
w hełmach na warcie
stoją*

*o świcie ktoś łopatką
melodie wygrywa
i budzi sąsiadów*

*pierwszy dym z komina
zatańczył tango z mrozem
nad srebrzystym dachem*

*za chwilę słońce
spojrzy przez konary
nagich drzew
i obudzi też wieś
spod puchowej bieli.*



stronę wsi - gdzie bose sierotki, zziębnięte, musiały pasać gęsi, a przeróżnym Jankom Muzykantom nie dane było rozwinąć talentu. Zamieszczali w swoich utworach wieś zarówno poeci i pisarze z niej się wywodzący, jak Jan Kasprówicz, jak i tacy, którzy na wieś patrzyli z dworku ziemiańskiego, jak Maria Konopnicka.

Przepiękna, choć zapomniana już baśń Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi” daje bardzo malowniczy obraz wsi, gdzie przenikają się światy rzeczywisty i baśniowy właśnie: „Wieś była duża, szeroko rozbudowana wśród poczerniałych teraz i bezlistnych sadów, a ostatnie jej domostwa opierały się o ciemną ścianę gęstego sosnowego boru. Chaty były zamożne, świeżo wybielone, z kominów ulatywał dym siny, w podwórkach skrzypiały studzienne żurawie, parobcy poili konie i porykujące bydło, a kupki dzieci bawiły się hałaśliwie na wysadzonej topolami drodze to „w gonionego”, to znów w „chowanego”. Ale nad całym tym gwarem górował huk młota i dźwiękanie żelaza w pobliskiej kuźni, przed którą stała gromadka lamentujących niewiast. Obaczywszy je, Koszałek-Opatek posunął się ostrożnie wzdłuż płota i stanąwszy za krzaczkiem tarniny - słuchał”.

Chłopski syn, zajmujący ważne miejsce w poezji polskiej - Jan Kasprówicz, tak uwiecznił wieś w sonetach z cyklu „Z chałupy”:

*„Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach,
Za chatami krępy sad wiśniowy,
Wierzby siwe pochylały głowy
Przy stodołach, przy niskich obórkach.*

*Płot się wali; płołun na podwórkach;
Tu rzą konie, ryczą chude krowy.
Tam się zwija dziewczek wieniec zdrowy
W kraśnych chustkach, w koralowych sznurkach.
Szare chaty! Nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...
Dzisiaj dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie -
Hej! Czy przyjdzie czas, co łzy te spłószy?!”...*

Dla Czesława Miłosza wspomnienia z dzieciństwa na wsi litewskiej były inspiracją do stworzenia powieści „Dolina Issy”, pięknie zekranizowanej przez Tadeusza Konwickiego. Także dwójako, na kartach powieści i w filmie, uwieczniona została wieś w arcydziełach literatury polskiej, pióra Władysława Reymonta, Elizy Orzeszkowej i Marii Dąbrowskiej. „Nad Niemnem” i „Noce i dnie”, a zwłaszcza „Chłopi”, to najpełniejszy chyba literacki obraz wsi, i to na najwyższym poziomie sztuki. Warto wciąż powracać do tych powieści, bo, jak każde arcydzieło, za każdym razem wnoszą czytelnikowi nowe wrażenia. Warto też zasięgnąć do kolejnej powtórki w telewizji ekranizacji tychże arcydzieł, aby znów popatrzeć na pięknie przedstawione pola, drogi, chałupy i dworki, aby ponownie wzruszać się i uśmiechać. A potem - a potem znów wziąć książkę do ręki.

Jolanta Betkowska, Słupsk

zdemaskować bajkę, czyli o kilku wzorcach w naszej kulturze znanych naprawdę wszystkim...



Krytykom literackim wydaje się, że interpretując najnowsze zbiory poetyckie czy obecnie publikujących prozaików, ogarniają wszystko. Tymczasem bycie czytelnikiem literatury nie oznacza tylko „bycia na fali”, poddawania lekturze rzeczy aktualnych. Wymaga głębokiego pochylenia się również w kierunku tych tekstów, które wydają się być zapomniane, albo tych, które pozornie nie skrywają w sobie niczego

Postaram się podjąć parę prób interpretacyjnych utworów przeznaczonych rzekomo dla najmłodszych, by udowodnić, jak pojemne znaczeniowo są niektóre z nich.

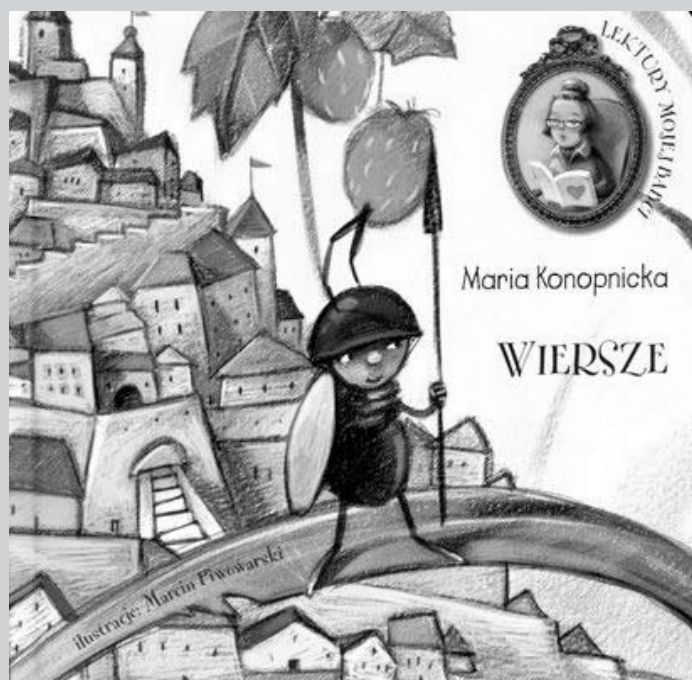
W bajce Jana Brzechwy „Ślimak” można odszukać schemat matriarchalny. Kobieta, żona ślimaka jest ogniwem dominującym w bajce. Tytułowemu ślimakowi nie udaje się przewyciężyć relacji pan - sługa. Jest on, niezaprzeczalnie, niewolnikiem swojego wyboru („Ślimak pełźnie środkiem parku, / A dom wisi mu na karku, / A z okienka patrzy żona. I wciąż wola niestrudzona”). Przywołując ten schemat, tak naprawdę Brzechwa powieliła wzorzec patriarchalny, bo choć ślimak „prześladowany” jest przez żonę, dręczony jej ciągłymi pytaniami, to jest on jedynym władcą swojego domu. Na plecach dźwiga skorupę, w której środku znajduje się pani ślimakowa. Dlatego to on, a nie ona, osoba, która ma mu jedynie usługiwać, jest ogniwem dominującym.

W bajce ukrył Brzechwa również wątki erotyczne. Kobieta, tak jak i mężczyzna, wyposażona jest w popęd i pragnie

go zrealizować. Właśnie dlatego ślimak jest już tym zmęczony, nieustającą prośbą o wspólne zaspokojenie „głodu”: „Mój ślimaku, pokaż rożki, / Dam ci sera na pierożki”. Ale ślimak się opiera: / „Nie chcę serca, nie jem sera!”. Ślimak mówi o swojej niegotowości do podjęcia pierwszej inicjacji. Zatem bajka ta jest niemożliwością cielesnej realizacji pani ślimakowej, i równocześnie odrzuceniem takiej próby przez ślimaka, który nie może pogodzić się z nieadekwatną do jego prywatnych potrzeb prośbą żony. Ślimak nie może opuścić swojego własnego domu. Męczy się w sam w sobie, nie mogąc się od siebie uwolnić. Bo żona ślimaka, która mieszka w skorupie, to druga strona jego natury. Dlatego bajkę można także odczytać jako historię jednej osoby złożonej z dwóch pierwiastków (męskiego i żeńskiego). Bo w każdym z nas jest trochę z mężczyzny i kobiety. Dialog w „ślimaku” to toczenie bitwy ze samym sobą, to prowizoryczna psychomachia. Tych dwoje ludzi, którzy powinni być dla siebie nawzajem zwierciadłem, nigdy się nim nie staną, bo ślimak mówi bardzo wyraźnie:

„Życie z tobą się ślimaczy, / Muszę zacząć żyć inaczej!”. W tym sensie bajka „Ślimak” jest opowieścią o dwóch osobach, które nie mogą znaleźć wspólnego języka. W takim odczytaniu jest to mówienie o samotności każdego człowieka, który nie potrafi odnaleźć się w relacjach z innymi ludźmi.

W bajce „Skrucha Józia” autorstwa Marii Konopnickiej Józia jest dziewczyną po doznanej inicjacji seksualnej. Jej symbolem jest słoik pełen konfitur. Słodycz „owocu zakazanego” jest lepszy niż wszystko to, czego do tej pory próbowała. Ale pali ją wstyd, bo dopuściła się czynu, który kulturowo jest niedopuszczalny. Dlatego nie można o nim mówić. Józia rozmawia o tym wyłącznie z matką i konfrontuje własne doświadczenia z osobą, której ufa. Co do czasu tej inicjacji jest on również kulturowo i prawnie określony. Nie znamy jednak wieku dziewczyny, lecz możemy się domyślać, że nie ma ona osiągniętego wieku uznawanego powszechnie za adekwatny do tego działania. Józia ma ogromne wyrzuty sumienia nie ze tego powodu, że spróbowała „owocu zakazanego”, lecz z tego, że nie wie, co pomyśli o niej inni: „Ach jak brzydko, jak



nieładnie! / Jak na sercu jej niemiło! / Każdy teraz ją zagadanie: „Panno Józio! Jak to było? / Nikt nie widział. Prawda, ale / Czyż nie zdradzą oczki, buzia? / Każdy pozna doskonale: / Konfitury zjadła Józia!”. Ironiczny zwrot „Panno Józio!” jeszcze bardziej podbudowuje wysuniętą tezę, bo przecież otoczenie nie jest już pewne jej niewinności. Dziewczyna szuka więc najbliższej i najłatwiejszej możliwości oczyszczenia, bo nie radzi sobie z presją pochodzącą z zewnątrz: „Mama mi przebaczyć musi, / bo mi z żalu serce pęknie”. Pozostaje do wyjaśnienia jeszcze jedna kwestia, kto wie o „grzechu” Józii, kto się jej tak bacznie przygląda („Myśli, że jej nikt nie widzi?”)? Józia to postać bardzo podobna do biblijnego Adama, którego kondycję możemy odkryć w momencie wołania przez Boga. W przypadku „Skruchy Józii” nie dostrzegamy Boga, nie słyszymy też jego głosu, ale wiemy już, że jej poczynania są dokładnie obserwowane. W dalszym ciągu dowiadujemy się o jej działaniach, aż w końcu o wyrzutach sumienia, które się w niej rodzą. Józia powiela w sposób symboliczny uczynek Adama, a Bogiem, który ją obserwuje jest jej najbliższe otoczenie. Natomiast wzorem, który ją ogranicza, są wytyczne kulturowe.

W wierszu „Pranie” Marii Konopnickiej zachęceni jesteśmy do uznawania za słuszny i powielania wzorca kobiety jako opiekunki rodziny, zajmującej się domem i dziećmi. To

ręce kobiety, nie mężczyzny zostały stworzone do takiej pracy: „Tylko dwie mam rączki małe, / Lecz do prania doskonale”. Bohaterką tekstu jest dziewczyna, która już od wczesnych lat jest wdrażana do odgrywania takiej właśnie roli. Konopnicka uświadamia nas, że taki stereotyp tworzył się w długotrwałym procesie i teraz ciężko będzie go wyrugować z naszego życia. Tym bardziej, że kolejne pokolenia będą nadal go współtworzyć: „Taka to praca nowa, / gdy kto lalek się dochował!”. Konopnicka wie, że jesteśmy tylko marionetkami kultury, w której żyjemy, stąd pojawiający się tu motyw lalki. Nie liczy się tu nasza autonomia, to nie my znaczymy, znaczy tylko nasze ciało, to, co zewnętrzne. Ono jest przedmiotem naszej klasyfikacji.

Ze stereotypem kulturowym walczy również sam Jan Brzechwa. Jego utwór „Kaczka-dziwaczka” jest tekstem manifestującym inność. Właśnie dlatego, że tytułowa bohaterka chce być kimś innym, jest nieakceptowana przez otoczenie („gryzły się kaczka okropnie: / - A niech tę kaczkę gęś kopnie!”). Dziwaczka nie jest w stanie dostosować się do „kaczyczych zachowań”, nie tylko dlatego, że nie chce, ale głównie dlatego, że sama nie potrafi, a świat nie chce jej w tym pomóc. Odrzucona przez otoczenie i w rezultacie schwyta przez kupca, staje się smakowitym daniem. W jej wnętrzu skrywa się nie „kaczka”, lecz ktoś zupełnie inny: „Pan kucharz kaczkę starannie / Piekł jak należy w brytfannie, / Lecz zdębiał, obiad podać, Bo z kaczki zrobił się zajac”. Zaskoczenie przychodzi na samym końcu. Dziwaczka faktycznie nie była kaczką i słusznie poszukiwała prawdy o sobie. Budowała swoją tożsamość nie w oparciu o bodźce pochodzące z zewnątrz, lecz o to, co czuła. To właśnie ona, a nie cały ustawiony naprzeciwko niej świat, odnalazła siebie naprawdę. Po jej symbolicznym odejściu cały świat przejrzał na oczy, ale okupione to było nie tylko jej śmiercią, ale i cierpieniem spowodowanym złośliwymi uwagami innych.



Znany twórca patrzy w zupełnie inny sposób na różnorodne problemy. W utworze Jana Brzechwy „Siedmiomilowe buty” bohater, posiadający cudowne obuwie, ma możliwość przenoszenia się w jednej chwili w odległe przestrzenie. Powoduje to jednak jego obcość, to, że mija się ze światem, nie ma możliwości, by zrozumieć choć jego jeden fragment. Przyzwyczailiśmy się do tego, że związani jesteśmy z jakąś przestrzenią, z której pochodzimy. To nasze mityczne, idylliczne miejsce, do którego powracamy, gdy już wyrośniemy. Bohater tekstu nie ma takiej możliwości, jest świadomy swojej

inności i odrębności. Decyduje się na porzuceniu wszystkiego, co posiada, by choć na chwilę zaznać spokoju myśli, oswoić się z jedną przestrzenią i ją zapamiętać. Brzechwa udowadnia nam, jak ważne jest odnalezienie swojego miejsca w świecie oraz ile trudu kosztuje nas to poszukiwanie.

Wzorzec patriarchalny reprezentuje także główny bohater wiersza „O Panu Tralalińskim” Juliana Tuwima. Uderza nas hierarchia ustalona w rodzinie. Pan Tralaliński jest nazywany mistrzem a „Co dzień rano, po śniadaniu” odbywa się uroczysty koncert, który prowadzony jest przez niego. W prostym i zabawnym utworze, gdzie dźwięk wydaje się być jego podstawowym budulcem, można doszukać się modelu dyktatorskiej władzy. Nie tylko życie prywatne jest jemu podporządkowane. W narzuconym przez niego rytmie i za jego pozwoleniem śpiewa całe społeczeństwo: „Tak to pana Tralislawa / Jego świetny chór wychwala” czy „I już z kuchni i z garażu / Słychać pieśń o gospodarzu, / Już śpiewają domownicy / I przechodnie na ulicy”. Tuwim poddaje krytyce mechanizmy władzy autorytarnej, w której unicestwiony zostaje indywidualizm, a tyran staje się jedynym źródłem rzekomej wolności. Prawa zostają ograniczone, a człowiek upodabnia się do „myszy”, która także, chcąc nie chcąc, musi zgodzić się na warunki przez niego podyktowane. Świat mówi jednym głosem

a wygłaszane przez niego stanowisko wobec życia staje się utopijne.

Powyższe interpretacje mogą budzić liczne kontrowersje. W tych wierszach można doszukać się jeszcze więcej zachowań „poprawnych kulturowo”. Nie sztuką jest odkryć te nawiązania, lecz odpowiednio je uzasadnić. To powinno się stać głównym zadaniem współczesnych „szperaczy” i czytelników literatury już nie najnowszej.



Anna Łozowska-Patynowska
Słupsk

melchior wańkowicz - zubr polskiej żurnalistyki



Miłośnicy tzw. literatury faktu nie zapomnieli zapewne o mijającej w styczniu br. 123. rocznicy urodzin Melchiora Wańkowicza

Ten znakomity pisarz, reportażysta urodził się w 1892 roku, a historia jego życia stanowi zbiór niesłychanie interesujących wydarzeń, które w efekcie doprowadziły go na szczyty literackich umiejętności. Uznany za najwybitniejszego polskiego reportażystę zasłynął dzięki darowi przekazywania wydarzeń w sposób isticie fotograficzny, posługując się przebogatym zasobem słów. Z powodu utraty rodziców od trzeciego roku życia wychowywany był przez babkę. Ukończył Uniwersytet Jagielloński na Wydziale Prawa. Brał udział w wojnie 1920 roku w korpusie polskim i został odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych. W 1926 roku współpracował z wydawnictwem Acta oraz Domem Książki Polskiej. W 1935 odbył podróż po Prusach Wschodnich w efekcie czego powstała książka „Na Tropach Smętka”, zakazana do rozpowszechniania w Niemczech. Przed wybuchem II wojny światowej wyemigrował do Rumunii, gdzie później spotykał się z marszałkiem Rydzem-

Śmigłym oraz ministrem spraw zagranicznych - Józefem Beckiem. W latach 1944 - 1946 wydał we Włoszech i USA trzy tomy reportaży („Bitwa o Monte Casino” oraz „Dzieje Rodziny Korzeniowskich”) o losach polskich zesłańców w Rosji.

Po tułaczce trwającej siedemnaście lat przez Rumunię, Cypr, Syrię, Irak, Iran, Włochy i USA, 27 maja 1958 roku powrócił do Polski, aby w marcu 1959 spotkać się z tysiącami studentów i czytelników w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Wypowiedział wtedy niezapomniane słowa, cytowane później wielokrotnie: „Wróciłem na ziemię błogostawioną, chłonną, między ludzi żywych i czujących. Jestem upojony każdym dniem w Polsce. Pochylam się pod narastającym zobowiązaniem, którego nie spaci zbyt mały talent, starość, okoliczności. I tylko beznadziejnie „dziękuję.”

Prześladowany był za rzekomą współpracę z Radiem Wolna Europa oraz poparcie „Listu 34” podpisanego przez m.in.: Antoniego Słonimskiego, Marię Dąbrowską, Tadeusza Kotarbińskiego, Stefana Kisielewskiego, Jerzego Turowicza - przeciwników cenzury, żądających wolnej dyskusji i prawa do krytyki. List ten pisarze skierowali do ówczesnego premiera Józefa Cyrankiewicza. W sprawie tej protest złożył też prezes Związku Pisarzy Polskich - Jarosław Iwaszkiewicz. Wańkowicz wówczas został aresztowany i skazany, lecz ze względu na podeszły wiek - 72 lata, wyrok uchylono.

W trwającej ponad dwie godziny, mowie procesowej, pisarz stwierdził m.in.: „lojalność wobec władzy nie może wyłączać prawa do krytyki...” Dopiero w 1990 roku, tj. szesnaście lat po śmierci, w procesie rewizyjnym został całkowicie oczyszczony z zarzutów i oskarżeń. W wydanej, po powrocie do Polski książce „Ziele na kraterze”, uznanej przez krytykę za najlepszą książkę poświęconą powstaniu warszawskiemu, posługiwał się wyłącznie relacjami uczestników powstania. Było to podstawą do stawiania szeregu zarzutów i zastrzeżeń.

Wydał też m.in. książki pt.: „Hubalczyki” (1959), „Westerplatte” (1959), „Szczenięce lata” (1934), „Na tropach Smętka” (1936), „Tędy i owędy” (1961), „Atlanty - Pacyfik” (1967), „Zupa na gwoździu” (1967), „Królik i oceany” (1968), „Szkice spod Monte Cassino” (1969), „W pępku Ameryki” (1969), „Od Stołpców po Kair” (1969), „Przez cztery klimaty” (1972), „Kara La Fontaine'a”, (1972), „Wojna i pióro” (1974).

Jako pisarz literatury pamiętnikarsko-wspomnieniowej poświęcił też wiele uwagi historii i dziejom ziemi gdańskiej.

Szczególnie interesował go okres międzywojenny, przebieg wojny i okupacji. Dowodem tego jest jego pobyt na Kaszubach, na ziemi bytowskiej. Z pomocą prof. Gierszewskiego z Uniwersytetu Gdańskiego nawiązał kontakt ze znanym historykiem i kaszuboznawcą z Bytowa - Hubertem Kreftem. Zbierając materiały do powstającej książki „Walczący Gryf” odwiedzili wspólnie wieś Kłęczno oraz mieszkającego tam nauczyciela Stanisława Szroedera - historyka i znawcę wydarzeń związanych z walką Kaszubów o polską szkołę.

O tym niezapomnianym wydarzeniu opowiada pan Stanisław Szroeder:

- Przyjechali do mnie niezapowiedziani. Prowadziłem akurat lekcję. Przed szkołą zatrzymał się samochód, z którego wysiadł Hubert Kreft oraz nieznamy mi mężczyzna. Weszli do klasy. Melchior Wańkiewicz - on bowiem był tym nieznanym - z gęstą grzywą siwych włosów, uśmiechnięty i zadowolony przedstawił się prosząc o możliwość rozmowy ze mną.



Ubrany w dziwną, tajemniczą pelerynę, zarzuconą na plecy sprawiał wrażenie zmęczonego wędrowca odwiedzającego nieznane strony. Po zakończeniu lekcji rozpoczęliśmy rozmowę na tematy bezpośrednio interesujące pisarza. Melchior Wańkiewicz okazał się człowiekiem bezpośrednim, wyjątkowo sympatycznym, momentami rubasznym, o głębokiej wiedzy, prowadzącym rozmowę w sposób interesujący i dociekliwy. W mistrzowski sposób potrafił poruszać i uwypuklać ważne

dla niego problemy. Moje wspomnienia dotyczące historii i wydarzeń z okresu wojny skrzętnie zapisywał, zadając pytania sięgające dawnych lat i dotyczące losów mojej rodziny, zwłaszcza okoliczności śmierci ojca Antoniego, dziejów rodu Styp-Rekowskich. Opowiadałem - wspomagany przez Huberta Krefta - o losach polskich szkół, które zamykano zaraz po ich uruchomieniu, dzieciach uczących się po kryjomu języka polskiego w izbach wiejskich, o festynie który w 1930 roku odbył się we wsi Osława Dąbrowa. Zorganizowany przez okoliczne szkoły polskie wywołał wściekłość władz niemieckich. Do rozpędzenia festynu wysłano kilkadziesiąt samochodów z niemieckimi bojówkarzami. W efekcie zdewastowano kilka szkół polskich, zniszczono mapy i obrazy. Melchior Wańkiewicz opowiedział mi o swoich spotkaniach z Kazimierą Styp-Rekowską, córką prezesa Oddziału Związku Polaków na regencję Koszalin, która na spotkanie przyniosła przechowywane od lat znak Rodła, z Pawłem Borzyszkowskim, Wandą

Mrozek-Gliszczyńską - świadkami i uczestnikami ówczesnych wydarzeń. Jego wizyta wywarła na mnie olbrzymie wrażenie. Nie spotykana osobowość, dociekliwość i swoboda wypowiedzi pozostawiły we mnie niezatarty ślad. Byłem szczęśliwy i dumny, że opowiedziane dzieje mojej rodziny zostaną zapisane i w formie książkowej, znajdą się na półkach bibliotek oraz zbiorach miłośników historii.

Dziś książka zatytułowana „Walczący Gryf „, przechowywana przez pana Stanisława w domowej bibliotece,

jest jednym z najcenniejszych, bogato ilustrowanych dokumentów obrazujących wydarzenia z lat walki o polską szkołę na Pomorzu. Wydana została w nakładzie 20 tys. egzemplarzy w 1963 roku przez wydawnictwo Czytelnik w Warszawie.

Andrzej Szczepanik, Bytów

Przytoczone cytaty pochodzą z: B. Wachowicz: „Bohaterki Powstańczej Warszawy”, Wydawnictwo MUZA S.A, Warszawa 2014.

„Ta postać odzwierciedla istotę słowa „artysta” - doskonałość w każdym calu, precyzyjność, dokładność, sedno przekazu słownego i artystycznego. Cezary Wosinek, to o nim mowa, jest mieszkańcem Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie

cezary wosinek - poeta i kreator wyobraźni

To przede wszystkim poeta, który sam siebie określa mianem „wiejskiego filozofa ze Słupska”. Nota bene taki tytuł nosi seria jego artykułów zamieszczanych w piśmie „Echo Depeesu”, prezentującym dokonania i postrzeganie otaczającego nas świata.

To mistrz słowa. W tomiku jego wierszy pt. „Wieści z paryskich przedmieści” odnaleźć możemy pełen obraz duszy, przeżyć i doświadczeń człowieka dojrzałego, który w życiu przeszedł długą i krętą drogę, który wreszcie szuka

możliwości samorealizacji i spełnienia. W zbiorze tym „ja” liryczne pragnie niezapomnianych doznań, oczekuje od życia czegoś więcej niż tylko zaspokojenia przyziemnych potrzeb. W wierszach tych dostrzec można mądrość, wiedzę i... nadzieję, że jutro okaże się być tym właśnie dniem, w którym podmiot liryczny oświadczy wreszcie: „Odnalazłem to, czego szukałem.”

Sam poeta mówi: „Z poezją jest jak z podróżą po oceanie. Prądy morskie pchają mnie w nieznane. Ale prawda jest taka,

że tworzy się także dla czytelników. Nie łudźmy się - poezja jest sprawą elitarną. To swoiste odkrywanie nowych światów. Co do mnie, to jestem poetą, bo muszę być poetą. Poezja to zawsze imperatyw - muszę tworzyć! I w tym jest podobna choćby do malowania obrazów i komponowania muzyki. Ktoś to robi, bo musi. Tylko dla kogo się to czyni? Dla wielu tworzenie jest sposobem na życie. To coś, czego brakuje w zwyczajnym, szarym dniu. Myślę często, że poezja dotyka tego, co nie istnieje. Mówi o tym, czego nie ma. Lecz poprzez samo pojawienie się słów pisanych na kartce, realizuje się to.



Mówiąc filozoficznie - następuje przejście od niebytu w byt. Poeta to kreator! Brak w jego życiu poezji jest jak ciężka choroba. Lekarstwem jest pisanie. Czy poezja nie jest zatem potężna? Mam wielu przyjaciół, lepszych i gorszych, ale małżonkę tylko jedną. Miłuję ją. To POEZJA. Ona jest łaskawa, spełnia moje zachcianki, pociesza mnie, kiedy jest mi smutno. A często żywi, gdy do-

wodzą, że jestem na tyle utalentowany i drukują moje wiersze w czasopiśmie czy książkach. Moja małżonka POEZJA mi się oddaje, ulegam jej, dzięki niej trwam w podnieceniu, w pełnej ekstazie. Jest moją dobrą kochanką. Ona nigdy mnie nie zdradzi. I co najważniejsze - jest moja, tylko moja!"

Po drugie, Cezary Wośinek to komediopisarz. Sam wymyśla koncepcje spektakli, pisze scenariusze, rozpisuje poszczególne sceny, dobiera stroje, scenografię, muzykę, gesty i mimikę aktorów; gra także role w stworzonych przez siebie przedstawieniach. Dzięki niemu w tym roku grupa teatralna „Epitetem po Metaforze” z Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie autorską wizją kabaretowej „Bitwy pod Grunwaldem” zajęła II miejsce podczas odbywającego się w Kobylnicy Powiatowego Przeglądu Kabaretów Wszelakich „Obciach”. W przygotowaniach są natomiast aż trzy propozycje spektakli

tego autora: „Na melinie”, „Adam i Ewa” oraz „Czterej pancerni i pies dwadzieścia lat później”.

Cezary Wośinek to prawdziwy twórca wszechstronności w teatrze. W swoich tekstach porusza wiele tematów związanych m.in. ze stereotypami, obyczajowością, a także zaściankowym sposobem bycia Polaków. Wszystko to przedstawia w nowatorski sposób, wykorzystując nowoczesne, postmodernistyczne podejście do teatru.

Odkąd sięga pamięcią, teatr zawsze lubił. Był on i wciąż jest w jego życiu czymś wartościowym i wspaniałym. Uważa, że „nie można widza zanudzić, wręcz przeciwnie - należy go rozbawić. Przedstawienie musi mieć to „coś”. Mimo to pisanie sztuk teatralnych nie należy do łatwych. Przedstawienia należą do sztuk scenicznych, dlatego też należy je tworzyć pod kątem ciągłości i jasności przekazu.”

Praca pisarska daje Cezaremu Wośinkowi ogromne spełnienie. W sztukach teatralnych oddaje on światu swoje uczucia i pasję, to jego swoista wirtuozeria artystyczna. W swojej ocenie twórczej jest przy tym bardzo szczerzy. Mówi: „I choć piszę, trywialnie mówiąc, dla tzw. „mas”, to obcowanie ze sztuką daje mi niewystawioną radość. Satysfakcję przysparzają mi gotowe spektakle, które podlegają ocenie publiczności. Nie ma bowiem nic cenniejszego dla twórcy niż jej uznanie. Prawdziwy artysta jest przez nią stwarzany, żyje dzięki i dla niej.”

Po trzecie, Cezary Wośinek to kreator wyobraźni. Stwarza wokół siebie, kreuje zastaną rzeczywistość, zmienia ją, zarazem nie poddając się jej. Nigdy nie idzie za ogólnie panującym nurtem, za modą, wręcz przeciwnie, sam wyznacza trendy, burzy schematy i stereotypy. W jaki sposób kreuje? Magią słowa. Przez stworzone i wystawione sztuki, napisane wiersze, opowiadania i artykuły, wpływa na odbiorców, czytelników. Daje im do myślenia, bowiem nie jest on poetą prostym; nie jest też dostównym komediopisarzem. To mistrz ciętej riposty, precyzyjny obserwator dnia codziennego. Jest przy tym elokwentnym składaczem słów, słownych famigłówek, zagadek. Doskonale obserwuje i wydaje trafne sprostowania, będąc przy tym bardzo krytycznym wobec siebie i tego, co stworzył. Jak na prawdziwego artystę przystało, pokazuje ciągłe niezadowolenie z tego, co powstało. Czy szuka splendoru? Nie w tym przypadku. Nie tworzy dla zdobytych tytułów, sławy czy pieniędzy. Tworzy dla sztuki, by poczuć spełnienie twórcze, dobrze zagospodarować swój czas, by po prostu dzielić się swoim talentem z innymi.

Krzysztof Surowiec, Lubuczewo

Cezary Wośinek, Lubuczewo

NA ZIEMI

To, co było, zostawia trwałe odcisk
Nie tak jak zarys buta na drodze
Myślę, bo jestem nie upadły pocisk
Istnieję przez swoje winy innym ku przestrodze.
Idąc ulicami miasta, które się zmieniło
Myślę stale o tym, co już tu nie wróci
A może coś jednak tu się uchroniło,
Mimo że niejedna nowość pamięć zakłóci.
Tajemnica miejsca, którego już nie ma
Wywołującego smutek skończonego czasu
Tragicznej dojrzałości dziejów śpiewa
Krakaniem wron wśród stoisk hałasu.

Co u ciebie?

TY I JA

Dostałem Cię w darze od Boga
Jak Adam dostał Ewę.
Nie muszę długo prosić,
Pomożesz mi w każdej potrzebie.
Będziesz moimi oczami,
Bo moje już przejrzeć nie mogą.
Będziesz mi zawsze poddana,
Pójdziemy żyć wspólną drogą.
Dokąd pójdziemy,
Świat taki jest obcy i wrogi.
Dobry Bóg da nam piękny dom,
Wstąpimy w świątyni progi.
A kiedy przyjdzie się rozstać,
Jeszcze przez chwilę zostaniemy sami,
Uwierzymy, że kiedyś na zawsze
Utkniemy w gwieździstej otchłani.

GDYBY NIE BYŁO SMUTKU

Gdyby nie było smutku
Świat pokładałby się z próżnej radości
Kobieta nie byłaby dobrą wróżką
Mgła okrywałaby tylko fantazję niską poetów
Śpieszących do pracy, prywatnie satyrów.
Gdyby nie było smutku
Świat leżałby odłogiem na ziemi zwanej plażą
Pod słońcem mrużącym swe oczy niepracowite
Mogłaby tylko trząskać fałszywe kadry
klatka rozkoszy
Śpiesz się, by odpoczywać w smutku
Wspomóż modlitwą, do smutku prowadzącą
Awans dostaniesz niewątpliwie dla dzielenia go
z innymi
Bo świat raduje się dopiero po zaspokojeniu
Głodu samego chleba
Spożywanego w smutku
Pij wodę zrozumienia, łatwiej strawisz ten chleb.

celebrowanie czasu



Tomik poetycki *Anna Karwowskiej* pt. „*Kocie łby*” jest jej debiutem i ukazał się w 2010 roku. Warto go przypomnieć

Lubię uliczki zbudowane z kocich łbów, są trwałe. Kiedy byłem na emigracji w Wiedniu, w latach 80-tych udałem się do Hiszpanii na urlop. Dawniej to była wioska rybacka - Tossa się nazywa, dzisiaj to miasteczko, i tam kilka ulic zostało niezmiennych. Nie wiem jak jest teraz. Kocie łby jako uliczki były i w Polsce, ale większość z nich została pokryta asfaltem, no bo inne czasy i inna technologia. Biorę do ręki ów tom wierszy, zaczynam czytać otwierając książkę na str. 40 i wita mnie wiersz „Wiosna”... Lubię czytać książki od tytu, nie tak jak ułożyła autorka lub redaktor. W wierszu ostatnim poetka stawia konkret w puencie i to mi się podoba: „moje wiersze to zakątek ziemi / na który Bóg machnął już ręką”. Żałując się najlepiej stanąć przy leszczynie i wykrzyknąć swój żal, bo Stwórca nie ma czasu wysłuchiwać wszystkich wierzących... Najlepiej, gdyby poetka przekłęta to miejsce, które i w minionym systemie nie było rajem. W ogóle nie ma raju, bo kto wie, gdzie on jest?

W wierszu „Zapamiętaj” A. Karwowska pisze:

„Zapamiętaj artystę
co późną porą dłoń wznosił
nad arkuszem papieru
kreślił swoje dzieło
choć ręce były chore”

Ten zestaw słów jest nagrodą za to, że miała autorka jeszcze siłę tworzyć po codziennym trudzie pracy na roli. Poetka powtarza przy każdej zwrotce „Zapamiętaj” - więc i ja pamiętam, choć tych starych wioszek już nie ma. Ba, na wsi Budki II koło Szydłowca i Chlewisk, nie ujrzyś krowy, a łąki wyrastają trawą powyżej metra. Nikt nie chce trzymać krowy, to po co komu trwa? Do wsi przyjeżdża handlarz i sprzedaje mleko, chleb, cukier z samochodu...

Zauważam w liryce Karwowskiej ładne układanie słów, na przykład jak pięknie brzmi: „drzewa błąkały się we mgłę”. W wierszu „Mała wieś” czytamy: „tu odłamano przestrzeni ręce / niebo nie zatrzymuje się wieczorem”. Czuje się spory już profesjonalizm w zbuntowanej kobiecie. Przyjęła na siebie rolę buntowniczkę w imieniu milczących, którzy, już przestali mówić. Poetka Karwowska tę historyczną misję spełnia. Ma satysfakcję metafizyczną, nie ma satysfakcji materialnej, bo żyje tylko z gołej renty.

Wiersz pt. „Sama w polu” to prawie pieśń. Jakże uroczo wciąga mnie ta liryka, bym ją chłonał, chłonał i coraz bardziej wczuwał się, bo to muzyka słowna. Cytuję:

„ręce pełne lęku
powolne myśli grzęzną w ziemi
a słowa jak kłosa rosną (...)
jak wiejskiej kobiecie chlubić się
natchnieniem
gdy się nie śmieje nie tańczy
dla ludzi nie jest obrazem
bo z pięknnością jej nie do twarzy
wiednie”

Dawno nie czytałem takiego manifestu! Gratuluję...

Poetka przywołuje swoją młodszą siostrę, Irenę. Chce jej przypomnieć o matce, zatem wzruszony czytam wiersz „Dla Ireny”:

„Do ogrodu wychodzisz
sukienka robi się jak zwiędły liść
czy to ty jesteś Ireno?
W rozgwarze obcej ziemi straciłaś głowę
a tutaj matka która nas rodziła
wynurza się z cienia maluje dom
dzieciństwo staje na progę”

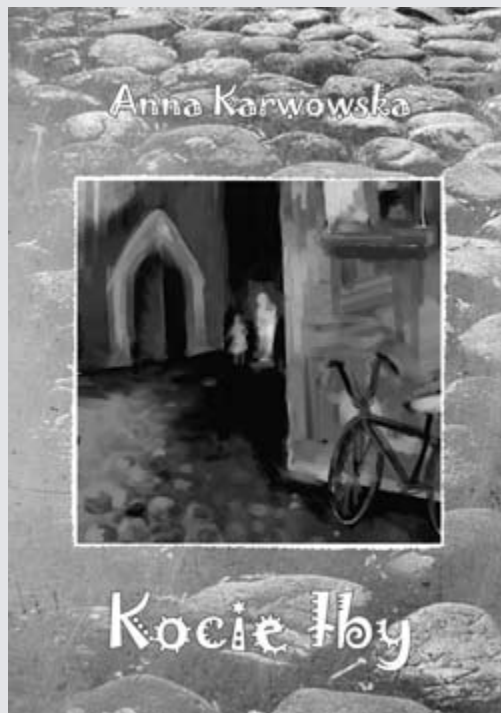
Oczywiście, wybieram wiersze ważne, choć każdy napisany o czymś świadczy dobitnie. Zatem celebрую ten czas - właściwie czas przeszły z czasem przyszłym, co zostanie prócz poezji Anny Karwowskiej? Poetka ta to kronikarka tej ziemi, tych ludzi, którzy mijają się, jakby byli dla siebie obcymi. A przecież wieś Dobieszewko żyła. Pozostała tu i ówdzie roślinność i wierne drzewa, a ludzie odeszli. Pamięta o nich tylko poetka, choćby w wierszach: „Samotność - dzień”, „Pytania do ojczyzny”, „Spętany żuraw”, „Przydrożne krzyże”.

W tomiku znajduję wiele wierszy osobistych, przeważnie skierowanych do Boga, i te zostawiam. Przeczytałem i zostawiam, bo to jakby modlitwa z żalem. Cicho je pomijam, bo trudno mi coś więcej dodać na ich temat. Kilka wierszy pewnie bym nie przekazał do druku, bo po co pisać o płaczu, jeśli wszyscy płaczą? Nie warto pisać o bólu, jeśli wszystkich coś boli. Wiersze pokryte dramatem nie mogą doprowadzić czytelnika do stresu lub zamknięcia książki w którymś miejscu. Mamy do niej powracać, a nie gdzieś ją głęboko schować, by szybko zapomnieć. Zawsze powtarzam młodemu adeptom pióra: jak jest ci smutno, pisz wesołe wiersze, przeciwstawiaj się losowi...

Zatrzymał mnie wiersz „Wspomnienia”, idealny opis: „Odchodząc / wyrwałam korzeń przyłasczki”. Proponuję do szczególnej lektury też jeszcze wiersz „Wiejski sklep” napisany z lekką ironią. A wiersz „Pisarka” jest moim ulubionym. A. Karwowskiej udało się trafnie przekazać, jaki stosunek mają do niej i do tego co robi jej sąsiedzi. W wierszu „Lato” użyła zaskakującej, oryginalnej metafory: „nie pozwól umknąć chwili posłuchaj świerszcza / co tęsknotę potrafi oszukać”. Bardzo mądrym wierszem jest też „Jesień”, taki przestrzenny, wręcz płynący... Byłbym za tym, żeby powstawało takich wierszy więcej.

„Wspomnienia się żalą” to utwór o minionej epoce, powiedziałbym: katastroficzny. Oto fragment:

ciąg dalszy na str. 10



wiersze najnowsze

Małgorzata Rządowska, Słupsk

LATAJĄCA RYBA

Jakie wielkie to morze, granice przejrzyste,
ono płynie w nieznanne mi dale
Dokąd więc zmierzam? Gdzie serce czyste
ciało unosi nad zwichrzone fale

Bo choć natura dała mi ciało,
choć mnie ubrała w rybim fasonie,
płynąć jak inni - dla mnie to mało,
ja chcę jak ptak, lśnić na nieboskłonie!

I wnet zobaczę zdumionych żeglarzy,
co mnie pochwycić nie mogą w swe sieci,
bo kto odwagę ma kochać i marzyć,
na własnych skrzydłach w niebo poleci!

Łapcie mnie wtedy, chłońcie w ukryciu,
zamiast w głębinie zanurzać dłonie,
spójrzcie w zwierciadło, w jego odbiciu
nieraz wam jeszcze słońce przestonie

DOSKONAŁOŚĆ

Nie wiem kim jestem. Ta jedna godzina
w nicość obraca wszechbyt i stałość
Niby cząstką jestem, która się zaklina
- tylko czas może tworzyć doskonałość

Plotę więc kolej zdarzeń niezmiennych,
los moich dni staje się przypadkiem
i przeobraża z poczwary bezimiennych
w pазie szlachetne, chwytane ukradkiem

Nie łapcie motyli chwil, które mijają,
w nich piękno ulotne - tak i doskonałość
trwa, lecz dopiero kiedy umierają,
w niebycie pozwala stworzyć jedną całość

Cząstką zatem jestem zagubioną w chwili,
lecz cząstką, która pragnie na przekór nicości,
każdy dzień wieść dniem życia motyli
i trwać w człowieku, jak w doskonałości

Anna Boguszewska, Słupsk

CHCESZ UCIEC

kiedy wróg
przekroczy próg twojego domu
języki ognia liżą
drzwi twojego azylu

kiedy bezradność staje się obsesją
strach nasila się
łzy i modlitwy
płyną przez cały kraj

kiedy przejmująca cisza
drąży ludzkie życie
całe zło tego świata
spada z siłą ognistego pioruna

kiedy wojna
niszczy dorobek życia
tracisz wolę walki
stajesz się wrakiem

podszyty strachem
chcesz uciec
z ogarniętej wojną Ukrainy
uwolnić się od piekielnego ognia

pragniesz
by ludzkie języki były ze szkła
z bezsilności i cierpienia
prosisz Boga o mądrość i światło

Słupsk, 27.12.2014 r.

Krystyna Pilecka, Koszalin

NOWY ROK...

Jeszcze bałwan topnieje
z zesłorocznego śniegu
a już Nowy pobrzękuje
kryształem przyszłości
Zadziwiony człapie po kałużach...
W przedsionku nieba życzenia
ustawiają się - o zielonej nadziei
o dobroci w każdym słowie
Nawet gwiazdy sypią szczęście
z rękawa nocy...
I... rodzi się Początek
ze wschodów i zachodów słońca
z marzeń o przyszłości
i z naszych wspólnych spraw...

Grzegorz Chwieduk, Kępice

śniłeś mi się ojciec

siedzieliśmy blisko siebie
jak jeszcze nigdy

milczeliśmy
to nam wystarczyło
doskonale się rozumieliśmy

zapadał wieczór
twoja twarz ciemniała
dojrzałaś do słów
ja jednak odezwałem się pierwszy

powiedziałem
że kiedy żyłeś
prawie cię nie zauważałem

związałem się z tobą
dopiero po śmierci

jest w nas zgoda
na siebie
na nowy start

twoje kobiece ciało
umie patrzeć w moją stronę

z wakacyjnego chłopaka
przeobraziłem się w mężczyznę
zasługującego
na wspólne wirowanie
między ziemią a nocą

całujemy się
nie tylko ustami
ale i duszami

nasz miłosny pakt
jak przepiękny diament
niepodatny na zarysowanie

wreszcie przetwarzam słowa
w szczęśliwe wiersze

Tomasz Mroczkowski, Słupsk

SYNAGOGA

Plac zabaw zdeptyany do czarnej ziemi
Śmiech dzieci wypełniający przestrzeń
szarych kamienic
Piskliwy skowyt zardzewiałych huśtawek
Tupot nóżek nieświadomych co skrywa
czarna ziemia.

Sen
Wzniosła świątynia
Rozkopane mogiły
Szczątki ludzkie
Kapłan wznoszący rozpaczliwe modły.
Pierwszy artykuł w gazecie
Tutaj stał wspaniały przybytek modlitwy
Przez nazistów spalony do gołej ziemi.
Drugi artykuł w gazecie
Robotnicy wykopalili kości
Budowa trwa.
Trzeci artykuł w gazecie
Wybudowano centrum kultury
Grać i śpiewać będą na scenie.
Pozostała pamięć zakuta w namiastkę
dawnej świetności
Odbudowane ogrodzenie synagogi
Tablica pamięci
Pytanie...

Zofia Maria Smalewska, Ustka

ZIMOWA ZADUMA

Samosiejki jejmościanki
kruche w swej dzikości choinki
strojne w misternie tkane szale

Luźne oczka płatków śniegu
opadają niemo na ziemię
Senny świat w białej otulinie zimy
wstuchuje się w styczniową ciszę

Zaduma czyni życie niepewnym
jak śnieżne rękodziela Zimy
Nad wsią przyciąga słońce
i tylko marzenia pełne są zadumy

Droga we wsi zasypana śniegiem
aż do Jaśkowej chatki
Skrzypią zimowe buty
Uśmiecham się choć życie boli

W głębi lasu trwa wyrąb drzew
brak dla nich nadziei
Potrzeba ciepła tłumaczy ich los
Czekam końca zimy

SŁOWA

Brak mi słów doskonałych
szukam ich od kołyski
Ciągłe za mało życia
za mało znam prawd
o przemijaniu i śmierci

Miotają mną kłopotliwe emocje
ssaki rodzą się ślepe
psy bezpańskie
koty wredne i drapieżne
a ryby zimne

Wszystko w jednym szeregu
starzec kaleka i pies
Brak mi słów doskonałych
brak dłoni które zaciśnięte jak zęby
doniosłyby wodę spragnionym

Woda i tak sępynie
a spragniony umrze
Nie znajduję słów doskonałych
aby zapisać je w wierszu
To dlaczego mu ufam

Naćmierz, 2014

Irena Peszkin, Koszalin

PŁYNE

Jak strumyk szemrzący
raz wezbrany
częściej milcząc.

Omijam kamienie i głazy,
upaja mnie zielony wiatr,
oddech lasu chłodzi.

Rozpromienia blask słońca
łśniący w kroplach rosy.

Wabi kwiecistość ogrodów i łąk
orzeźwia nektar zżętych traw
I zapach chleba w porze żniw
A gdy jesienią zaorana ziemia
to intryguje krzyk żurawi.

Chłonę pasjami swój mikroświat
zauroczona widokiem pól
jesienią, wiosną, latem.

Symfonia przyrody
ogromnym smakiem oszałamia,
barwą, dźwiękiem, obrazem
i wybrzmiewa nuta za nutą
w nieskończonej potędze wszechświata.

Andrzej Szczepanik, Bytów

OBIECANA ZIEMIA

66 lat temu w Bytowie

Nikt nas nie witał grudniową nocą
ślepe okna wypełniała pustka wypalonych
wewnątrz
pełnych nieprzyjaznych duchów
niemieckiego pogorzeliska
tajemniczy poblask gazowych latami
czynił z nas wędrujące zjawy
błądzące koleinami ulic
szukając innego domu szliśmy donikąd
poganiani ciemnością umarłych ruin
tłumiliśmy zamiar ucieczki
do radomszczańskiej sielskości

lata minionej dojrzałości zmieniły życie
pośród krajobrazowego przepychu
wyciszyły wolę powrotu
zielonoblękitnym horyzontem tej obiecanej
ziemi
czasem tylko szarpie serce tęsknota
do moich źródeł pradawnych
gdzie drzewa ziemia i drogi
chodziły ze mną na rozstaje

Emilia Maraškiewicz, Darłowo

PŁUG

wielu myśli o nim z czułością
jak o ukochanej
nigdy go nie zmienia
nie pożyczą
naprawia w nieskończoność
a trzyma jak za kolano
wielu mówi o nim mój szczęśliwy pług
i nie pojedzie bez niego w pole

nie zamyka z resztą gratów
lecz stawia w widocznym miejscu
żeby popatrzeć czasem
jak na talizman

to nie jest zwykłe narzędzie
ale znak rozpoznawczy
jak szabla dla ułana
czekan dla himalaisty
kilof dla górnika
bo pług ma się czym pochwalić

gdy umrzesz
wyrzują ci go na grobie razem z losem

Anna Karwowska, Dobieszewko

NIE ZAKWITNĄ DNI

Mętne niebo, szare mgły
a maszyna pędzi
niby halny po szczytach gór
i ludzkie serca rozdziera
rozpaczliwym jękiem swym.
Kręcą koła jak szalone
prosto w otchłań, prosto w cień
wokół ziemia i drzewa drżą
rośnie pustka, rośnie lęk.
W tym zamęcie czarnych kół
Śmierć pożera żrenicami -
los pomszczony swój lub innych
i młodego życia
już nie zakwitną dni.

Krzyszyna Wojewoda, Miastko

ZIMA

Zima, biała zimo.. dzieciństwa radości
tęskno mi za sanna i zabawami na śniegu
Za jazdą na łyżwach po tafłowych lodach
w bajkowych sceneriach błyszczących na mrozie

Zachwycałam się twym krajobrazem
majestatycznym cudem przyrody
Wstuchana w huk pękających lodów
skrzywienie sań i regat na płozach

Dziś spadł śnieg z ciemnych obłoków
i nakrył ziemię szarą bladeścią
Wśród płatków sypiących gęsto
nie odnalazłam z dzieciństwa dawnego uroku

Emilia Zimnicka, Izbica

WICHROWE DNI

Śnieg biały
Otulił mą nadjeziomą ziemię
Sosnowy zagajnik koło rzeki Łeby
Zalśnił srebrzyście
A jeszcze dni temu kilka
Potwór wichru huczał złowieszczo
Niszczycielskie śpiewy

Szedł nad wioską i przez wioskę
 Tupiąc ogromnymi kopytami
 Pazurami zrywając ogromne konary
 W parku
 Drzewa w lesie wyrrywając z korzeniami
 Szalała ta potęgą wichru
 Jakby w niej zawarte było
 Całe zło tego świata
 Znikła pod jego uderzeniem dwustuletnia
 Porowińskich chata w Izbycy
 Pewno zapłakały duchy tego miejsca
 Czasem się je słyszy
 Idąc wieczorną porą w księżycowej ciszy

Elżbieta Staszewska, Słupsk

ODA (ks. III.30)
 QUINTUS HORATIUS
 PARAFRAZA

Czyny moje pośród Wzgórz Rzymskich
 utrwalał mój pomnik przez pisarstwo
 w królewskich krainach wzniesiony przez
 męstwo,
 utrwali drogę domu, zamiast wrót
 niszczycielskich.

Nie wszystek umrę ożywiony kromką chleba,
 pokonam śmierć drogą wędrując, nie rzek
 korytami,
 w Ojczyźnie, gdzie biedny i bogaty
 mieszkańcami
 a milczenie złotem pola pokrywa i chmurami
 Nieba.

Na moim Słowie budowa trwa,
 Waga urzędnicza mierzy co Słowo, co Ja,
 księżących muś włosy ku koronom rozwiane,
 to mi historia odda, zamiast konanie.

Polski Rej, rosyjski Puszkין za Horacjuszem
 podążając,
 pomni wszak wszyscy jesteśmy życia trudu,
 gdzie Domu Prawo nasze - tutaj niczym
 z ludu,

z grzechem śmierć zbratana i z
 niesprawiedliwością Mości Pana - jej
 unikając.

Jadwiga Michalak, Naćmierz

MÓJ SZYPER

pokochał morze, krajobraz
 wpięty w pory roku egzystencji rybaka

o świecie na przystani
 mróz szczybie dokuczliwie

przy swoim kutrze czeka na rybaków
 plan wypływu w morze tam gdzie siatki
 trzeba zebrać rybę

potrzebne mocne ramiona
 żyły napięte jak masztowe liny
 sieć kaleczy ręce, ściera skórę do krwi
 ładuje na pokładzie z zawartością
 dorsza, śledzia i flądry

mija godzina za godziną
 zanim do brzegu w Jarostawcu
 dobije szyper z załogą

liny trzeba rzucić na brzeg
 przemocować kuter na przystani

na klifie czeka rybaczka wzruszona
 jej szyper z załogą dobił do brzegu
 sieć pełna - udał się połów
 trzeba rozładować rybę...

w domu ciepło od kominka
 ogrzewa zmarzniętą twarz

pokochał to morze jak kobietę
 na dobre i złe, w zdrowiu i w chorobie
 na zawsze...

celebrowanie czasu - ciąg dalszy ze str. 7

„dzisiaj życie bez nazwy
 człowiek stał się cudzoziemcem na tej ziemi
 a była nadzieja padały wielkie słowa
 i miało być tak pięknie (...)
 w spadku zostały
 kawałek nieba i ziemia
 ale tylko pod stopą
 Czasem świt
 przemyci gałązkę błękitu
 złudzenie wytrąci ze snu”

A wiersz „zatytułowany „Historia” zaskakuje nas taką
 puentą: „Historio / zamocz pióro w atramencie / oświeć ka-
 mienie które nadgryzła gwiazda”. Żeby coś takiego napisać,
 trzeba być w transie. Nawet wielcy klasycy czegoś podobnego
 nie napisali. Karwowska jednak po swojemu widzi, czuje i
 pisze.

W wierszu „Tak widzę świat” czytamy:

„Nie będę udawać
 ale widzę świat
 ubrany w dekoracyjny płaszcz
 i gwiazdy władzy które świecą
 wcale nie gasną - przeciwnie
 w ich blasku rozpływamy się
 jak pająk pod rynną
 nawet świty rodzą tyle nowych zwątpień
 podszytych wiatrem pogardy”

Naprawdę takie wiersze z przyjemnością czytam. Ile tu
 jest filozofii... Skąd u zwykłej kobiety z PGR-u tyle intelligen-
 cji? W wierszu „List” następane zaskoczenie:

„Kret wprowadził się pod skórę
 drąży korytarze na tydkach
 z dołu do góry i powstaje co dzień większy
 labirynt nasączony krwią”

Także wiersze „Noc”, „Bluszcz” czy „Koniec lata” to ro-
 dzynki dla czytelnika i dla recenzenta. Wiersz dobry jest jak
 drzewo, cytuję: „i kasztany wychodzą z tona”, oświeca nas
 światłem z serca poetki. Wiele jest w tych wierszach pięknych
 metafor: „próbuję natchnąć kamień aby żył” lub „Oczy jak bez-
 domne psy”, czy „w głębi kieszeni szlocha srebrna moneta”.

Wiersz „Poła” jest o wyprzedaży Polski. Gdyby na przy-
 kład Austria chciała się wyprzedać, to po niej nic by nie zosta-
 ło, nawet na mapie znikłaby jej nazwa. Zresztą, po przegranej
 wojnie Niemcy szykowali się do takiego wykupu, ale naród
 austriacki i rządzący politycy nie pozwolili na to. Opowiadał
 mi o tym pewien wiedeńczyk - polityk.

I między innymi to brzemię istnieje w duszy poetki Anny
 Karwowskiej, która nie wstydzi się o tym mówić w swoich
 wierszach. I ważne to, że nie jest egoistką, a spostrzegawczą
 kronikarką czasu, która celebrowała stan społeczny ludzi popege-
 rowskiej wsi, przekazując w strofach poezji treści o człowie-
 ku, który przegrał swój los, li tylko dzięki systemom.

Dziękuję Anno!

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

Anna Karwowska: „Kocie łby”, Starostwo Powiatowe w
 Słupsku, 2010.

skutki ignorancji, czyli jak czytałam „księgi jakubowe”



Trzeba było zacząć od końca, a ja dałam się uwieść tytułowi. Dla tego muszę się przyznać do ignorancji i nadrobić szkolne zaległości. Sprawa dotyczy obszernej powieści „Księgi Jakubowe albo wielka podróż przez siedem granic, pięć języków i trzy duże religie, nie licząc tych małych. Opowiadana przez zmarłych, a przez autorkę dopełniona metodą koniektury, z wielu rozmaitych ksiąg zaczerpnięta, a także wspomóżona imaginacją, która to jest największym naturalnym darem człowieka. Mądrym dla memoriału, kompatriotom dla refleksji, laikom dla nauki, melancholikom zaś dla rozrywki” Olgi Tokarczuk

Trzeba było uważnie przeczytać i przeanalizować tytuł, umieszczając siebie w jednej z grup czytelników, do których historia Jakuba Franka i tamtego czasu jest adresowana.

W zamieszczonej na końcu książki „Nocie bibliograficznej” autorka tłumaczy brak bibliografii fikcyjnym charakterem narracji, opisuje swoje lektury, poprzedzające pracę nad powieścią oraz zachęca uważnego czytelnika do podobnego wysiłku: „Wszyscy zainteresowani historią opowiedzianą w tej książce powinni przede wszystkim sięgnąć po dwutomowe dzieło Aleksandra Kraushara „Frank i frankiści polscy 1726 - 1816. Monografia historyczna” z roku 1895.”

Ponadto proponuję listę kolejnych lektur, a mianowicie: „The Mixed Multitude: Jakub Frank and the Frankist Movement 1755 - 1816” Pawła Maciejki i inne prace tego autora oraz „Sąd żydowski w lwowskim Kościele Archikatedralnym 1759 r.” Gaudentego Pikułskiego, „Macoche” Józefa Ignacego Kraszewskiego, „Nowe Ateny albo Akademię Wszelkiej sciencyi pełną” Benedykta Chmielowskiego w opracowaniu Marii i Jana Józefa Lipskich z 1968 roku. Jest jeszcze kilka pozycji, które warto by przejrzeć, by móc świadomie uczestniczyć w kreowanym narracją świecie.

Krótki przegląd bibliografii świadczy o historycznym kontekście powieści Olgi Tokarczuk. Niektórzy recenzenci widzą w „Księgach Jakubowych” dopełnienie, rodzaj suplementu do obrazu czasu i miejsca przedstawionego w literaturze, między innymi w twórczości Sienkiewicza. Dodajmy, mit Podola rozwijał się dużo wcześniej. Regionalny poeta Wojciech Kicki pisał:

*„Podole z Ukrainą szkołą nazywano
Rycerską, y nad insze żyźniejszą ią miano.”*

Później Wincenty Pol w „Pieśni o ziemi naszej”, Karol Szajnocha w wieku XIX i wreszcie Henryk Sienkiewicz rozwijali wyobrażenia o mitycznej krainie z Kamieńcem Podolskim.

Historyczne Podole „płynące mlekiem i miodem” funkcjonuje w świadomości Polaków jako kolebka, gdzie w ciągłych potyczkach z hordami hartowały się pokolenia rycerstwa. Tymczasem wyglądało to tak: najwięcej ludności rzymskokatolickiej mieszkało w powiecie kamieniecko-podolskim i było to 13,3 proc., a „rzymskokatolicka sieć parafialna po dotkliwych

spustoszeniach potopu tureckiego była nader rzadka. Ówczesne statystyki donoszą, że w 1726 r. na całym Podolu było zaledwie 40 parafii rzymskokatolickich.”

Do takiego obrazu nawiązuje Olga Tokarczuk. Nie tylko szlachta, kościelni hierarchowie, ale żywa tkanka społeczna z przewagą ludności żydowskiej jest naturalnym tłem zdarzeń opowiedzianych w powieści. Akcja rozpoczyna się w Rohatynie, miasteczku w dolinie naddniestrzańskiej, miejscu związanym z postacią Benedykta Chmielowskiego (1700 - 1763), a właściwie w Firlejowie pod Rohatynem, skąd bohater wyrusza w podróż, by zdobyć tajemniczą księgę Zohar.

Oczyrna księdza Chmielowskiego oglądamy miasteczko: lepianki, domki, „Są tu też fara, klasztor Dominikanów, kościół świętej Barbary przy rynku, a dalej dwie synagogi i pięć cerkwi. (...) Krawiec, powroźnik, kuśnierz, wszyscy Żydzi...” Targ, boczne biedne uliczki. „Kobiety w łachmanach zbierają na ulicy wióry i łajno na opał. Trudno po tych łachach rozróżnić, czy to bieda żydowska, czy cerkiewna, czy katolicka. Tak, bieda nie ma ani wiary, ani narodowości.”

Narracja wzbogaca się o kolejne wątki. Wraz z księdzem Chmielowskim czytelnik poznaje skład i dom rohatyńskiego rabina Eilszy Szora, gdzie ksiądz spodziewa się dostać księgę, licząc przy tym na dyskrecję. Na wymianę przyniósł „Turriss Babel” Athanasiusa Kirchera. Obie pozycje, znane w piśmiennictwie, zapowiadają motywy mistyki w powieści.

Do domu Szora w Rohatynie przybywają weselni goście. „Trwają przygotowania do wesela. Żeni się jeden z synów. (...) Panem młodym jest ów Izaak nazwany przez księdza Chmielowskiego Jeremiaszem. Liczy sobie szesnaście lat (...)” Obrzęd wesela jako ośrodek kompozycyjny pozwala wprowadzić wiele postaci i wątków, budować misteryjnie - mistyczną atmosferę opowieściami kolejnych przybyszów, w tym Natana Samuela Ben Lewi z Buska, autora „Żywota Najświętszego Szabtaja Cwi”.

Czytelnik niewtajemniczony powinien się w tym momencie, dla zrozumienia dalszych powieściowych perypetii, zorientować w sprawie. Współczesny dostęp do informacji



pozwala na szybkie nadrobienie zaległości, w Internecie czytamy: „Niektóre autorytety rabiniczne dały się porwać entuzjazmowi Szabtaja. Dzień mesjanistycznego wybawienia został ustalony na 18 czerwca 1666 roku. W całej Europie śpiewano pokutne żałobne pieśni, odmawiano modlitwy do „Naszego Pana i Króla, Szabtaja Cwi”, tradycyjne dni postu przekształcono w dni radości, a ludzie pozbywali się nawet swych majątków, przygotowując się na nadejście złotego wieku.”

O Szabtaju Cwi mówią kolejni bohaterowie powieści, mówią o nadziejach i upadku mesjasza, który ostatecznie przyjął islam i wyjaśniają ten fakt aktem koniecznym w drodze do zbawienia. Symultaniczna narracja realizuje się bezpośrednio opowieściami kolejnych bohaterów lub udzielanie „głosu” ma formę listu, co jest swoistym nawiązaniem do powieści i pamiętników baroku; jest także sposobem wprowadzania wątków pobocznych, motywujących i wyjaśniających to, co dzieje się nie tylko w weselnym domu w Rohatynie, ale w podróży przez granice i miasta: w Firlejowie, pod Żytomierzem we wsi Markowa Wolica..., gdzie pojawia się motyw jak z horroru, odnotowany przez historię, wykorzystany przez frankistów przeciw talmudystom przed sądem konsystorskim. Absurdalne oskarżenia o mord rytualny skutkują przerażającymi wyrokami.

Równoległe światy „opowiadane” przez postacie historyczne w roli kolejnych narratorów zostały powiązane czasem i szeroko rozumianym miejscem akcji, ale przede wszystkim interesami, intrygami i religią, a właściwie jej włączeniem w bieżące wydarzenia, z konwersją włącznie; są od siebie zależne, wzajemnie się motywują, by mogło się dopełnić „wielkie dzieło”, historia nadziei i upadku, o którym w istocie opowiada powieść Olgi Tokarczuk.

„Nachman znowu milknie na chwilę, by dać słuchaczom dość czasu, żeby nacieszyli się tym wszystkim. Tym, jak świat się dopełnia, składa na powrót. Tikkun rozpoczęty”.

Historia zna przebieg zdarzeń, jednak czytelnik przedziera się przez splątane wątki, porzucane i na powrót przywoływane, by dotrzeć do kulminacji, która była zaskoczeniem dla współczesnych, a jako niechlebna została skazana na przemilczenie. Nie, nie były to zdarzenia głównego nurtu historii, niemniej były dla własnej epoki typowe, jak luteranizm, raskoś w prawosławiu i wszelkie wrzenia religijne większe i mniejsze.

Tymczasem w powieści funkcję narratora przejmują kolejne postacie, między innymi Elżbieta Družbacka, której korespondencja z Benedyktem Chmielowskim wzbogaca historyczną w prowadzeniu fabuły powieść o elementy fikcji; jest też rodzajem komentarza do wątku głównego. Podobną funkcję narracyjną pełni list biskupa Kajetana Sołtyka do papieża i powiązana z nim historia Żelika, który uciekł z pogromu. Polifoniczna narracja buduje atmosferę, w której prawdziwie brzmią słowa Eliszy Szora: „- Potrzebujemy kogoś, kto nas wesprze we wszystkim, kto nas podtrzyma. Nie rabina, nie mędrca, nie bogacza, nie wojownika. Potrzebujemy mocarza, który wygląda na słaubeusza, kogoś bez lęku. On nas stąd wyprowadzi. (...) Nachman, ty go tu sprowadź. Tego Jakuba.”

Wśród płataniny imion, nazwisk, rodzinnych koligacji, prawdziwie weselnego rejwachu, wyłaniają się wątki zasadnicze: historyczne i fikcyjne, w tym wątek Jenty, zaskakujący, czasem humorystyczny, innym razem zadziwiający fantastyką magiczno - religijną. Jenta, która nie żyje, ale też nie umarła, opowiada, komentuje, obserwuje. Łączy światy - duchowy i realny, żywych i umarłych, historyczny i zmyślony, dawny i współczesny; świat quasi-historycznej powieści z sentencją wypowiedzianą przez Družbacką: „może ta cała sztuka pisania jest doskonałością form nieprecyzyjnych”.

„Księgi Jakubowe” są opowieścią o Jakubie Franku i frankistach, o ruchu religijnym oraz społecznym, historycznym, ekonomicznym tle zdarzeń, które znalazły odbicie w historii

i kulturze, niemal do wieku XIX. W interpretacji pojawiają się sugestie, że akceptacja przez Adama Mickiewicza nauk Andrzeja Towiańskiego wyrosła z frankistowskiego rodzinnego podłoża.

Olga Tokarczuk buduje powieść na historycznym autentycznym schemacie fabularnym, który „dopełnia metodą koniektury, z wielu rozmaitych ksiąg czerpie, a także wspomaga imaginacją”. Rozmaite perypetie samego Franka, jak i jego wyznawców, dramatyczne i tragiczne, podniosłe i podłe, prowadzą do największej w dziejach konwersji z judaizmu na katolicyzm. W 1759 roku kilkanaście tysięcy Żydów w Kamieńcu Podolskim, Lwowie i Warszawie przyjęło chrzest.

„W dniu 17 września 1759 roku, po uroczystej mszy, do chrztu przystępuje Jakub Frank i przyjmuje imię Józef. Chrzest otrzymuje z rąk metropolity lwowskiego Samuela Głowińskiego z Głowna. Jego chrzestnymi zaś są niespełna trzydziestoletni, elegancki, ubrany z francuska Franciszek Rzewuski oraz Maria Anna Brühlowa. (...) Za nim stoi już cała grupa, z której co chwilę występuje jeden i idzie do ołtarza. Zmieniają się chrzestni w uroczystych, bogatych strojach.”

W lutym 1760 roku Jakub Frank został uwięziony w klasztorze na Jasnej Górze.

Obszerna ponad dziewięćsetstronicowa powieść jest barwną opowieścią o tamtych zdarzeniach. Autorka nie wchodzi w doktrynę ruchu, opowiada o ludziach, ich motywacjach, nadziejach, obawach, zwyczajach, codziennym życiu.

„Kompatriotom dla refleksji” polecam kwestię Katarzyny Kossakowskiej, pierwowzoru „Macochoy” Ignacego Kraszewskiego: „Kossakowska poważnieje. - I ty w to wierzysz, mości Antoni Kossakowski? Dzień Sądy? Dzień Sądy to już mamy, nikt się z nikim nie zgadza, wszyscy ze sobą walczą, król w Dreźnie, sprawami swojego kraju mało się zajmuje.”

Pozostaje sprawa zakończenia i rozwiązania wątku Jenty. Bohaterowie z rohatyńskiego domu Eiszy Szora po chrzcie zmienili imiona, nazwiska i miejsce zamieszkania. „Tylko Jenta jest w stanie ujrzeć z góry i prześledzić tropy tych wszystkich ruchliwych istot.” W końcowych rozdziałach na stronach 30-28 (numeracja stron jest odwrotna) autorka identyfikuje postacie. „Najwięcej do powiedzenia byłoby o rodzinie Wołowskich, (Eliszy Szora) jako że rozrosła się do ogromnych rozmiarów. Niemal wszystkie gałęzie tego rodu zostały nobilitowane...”

Pieczołowitość autorki w prowadzeniu wątków zgodnie z historycznymi zapisami jest zaletą książki. Wielowątkową fabułę włączającą w świat fikcji zdarzenia i postacie historyczne oraz wielość sposobów narracji łączy konsekwentna klasyczna zasada kompozycyjna. Każdy wątek znajduje rozwiązanie, dzięki temu świat powieści staje się spójny. W zakończeniu, w rozdziale „Dzieci” wracamy do zdarzenia zawiązującego akcję: „Niewątpliwie wielką karierę zrobił Franciszek, syn Izaaka Wołowskiego, tego samego, którego ksiądz Chmielowski nazwał Jeremiaszem. Urodził się w 1786 roku w Brünn i wychowany w Offenbachu, stał się jednym z najlepszych prawników i znawcą prawa tamtego czasu.”

Tak zatem, mimo upadku ruchu, frankizm okazał się drogą do sukcesu, awansu społecznego i materialnego i asymilacji.

Wcześniej historię Jakuba Franka opowiedział Adrian Panek w filmie w 2011 roku zatytułowanym „Daas”, z Olgiem Łukaszewiczem w roli głównej. Barwny kostiumowy film, prezentowany na festiwalu w Gdyni, przeszedł właściwie bez echa.

Powieść Olgi Tokarczuk zaczęłam czytać od nowa. Teraz, kiedy znam fabułę, jej związki z historią, dla rozrywki smakuję niuanse języka, poszukując aluzji, ironii, naśladownictwa stylu epoki.

Czesława Długoszek, Objazda

Olga Tokarczuk, „Księgi Jakubowe”, Wydawnictwo Literackie, 2014.

„Jezus ośmieszony” - ta książka zmusza do myślenia



Leszek Kołakowski - wybitny, niezjący już filozof, do marca 1968 roku był profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, a od 1970 - wykładowcą w Yale, Berkeley, Chicago i na Uniwersytecie Oksfordzkim. Jego prace naukowe są uznawane za fundamentalne

Książka jego autorstwa zatytułowana „Jezus ośmieszony” nie jest religijna. Stanowi przyczynek do intelektualnych rozmyślań nad znaczeniem Jezusa w kulturze współczesnego świata.

Francuski rękopis tej książki został odnaleziony dzięki żonnie autora i udostępniony do opublikowania bez poprawek, tak

jak się zachował, pod prowokacyjnym tytułem: „Jesus ridicule. Un essai apologetique et sceptique” (Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny).

Leszek Kołakowski, luminarz nauki, był osobą niewierzącą. Nadał swojej wypowiedzi filozoficznej przewrotny podtytuł, używając przeciwstawnych określeń. Jest to apoteoza Jezusa w naszej kulturze, a zarazem dystans do jego przesłania i aktualnego odbioru. Można powiedzieć, że napisany w połowie lat osiemdziesiątych, nieukończony esej, stanowi głęboką refleksję nad znaczeniem Jezusa.

Autor w książce tej, po publikacjach „Obecność mitu, „Jeśli Boga nie ma”... „Bóg nam nic nie jest dłużny” przedstawia Jezusa prawdziwego, to znaczy rzeczywiście i niezbywalnie obecnego w naszej historii.

Na początku eseju Leszek Kołakowski stawia pytanie, kim był Jezus i przytacza różne, czasem bardzo skrajne, opinie. Określa również swój stosunek do kwestii: „Czy był Bogiem? Jego odpowiedź na to pytanie brzmi: „Nie mam pojęcia. Ale jeśli jakiś Boży człowiek żył kiedykolwiek na tej ziemi, to był nim On”.

Najważniejsze pytania autora: Czy nasza kultura przeżyje, jeśli zapomni się Jezusa? Dlaczego potrzebujemy Jezusa? Czy nasza nowożytna kultura może kształtować się bez Jezusa? Pytania te są ciągle aktualne, autor nadaje im wymiar

wielowątkowy. W uzasadnieniu wypowiada się jako osoba niewierząca, a nie ortodoksyjny teolog. Jego refleksja jest wyjątkowa: nie widzi on bowiem przyszłości naszej cywilizacji bez Jezusa.

Leszek Kołakowski przeprowadza głębszą analizę pojęć ewangelicznych i ich odbioru na przestrzeni wieków, przedstawia koncepcje filozoficzne różnych autorów, myślicieli, którzy podważali często podstawowe kanony Kościoła, lecz nie podejmowali próby zakwestionowania istnienia Jezusa. Tytuł „Jezus ośmieszony” należy rozumieć a rebours - ten się ośmiesza, kto nie wierzy w istnienie i najważniejsze przesłanie Jezusa.

Dlaczego podjąłem się napisać o tej książce? Zawsze interesowała mnie filozofia jako ukoronowanie dyscyplin nauki. Wielokrotnie z nią się spotykałem na studiach magisterskich, doktoranckich, czy teologicznych. Za każdym razem wymiar tematycznych wykładów, ich kierunek i przesłanie w poruszanej kwestii były inne, czasem wzajemnie się wykluczające.

A gdzie jest miejsce dla filozofii uprawianej przez Leszka Kołakowskiego? Jako członek PZPR w początkach kariery był pracownikiem

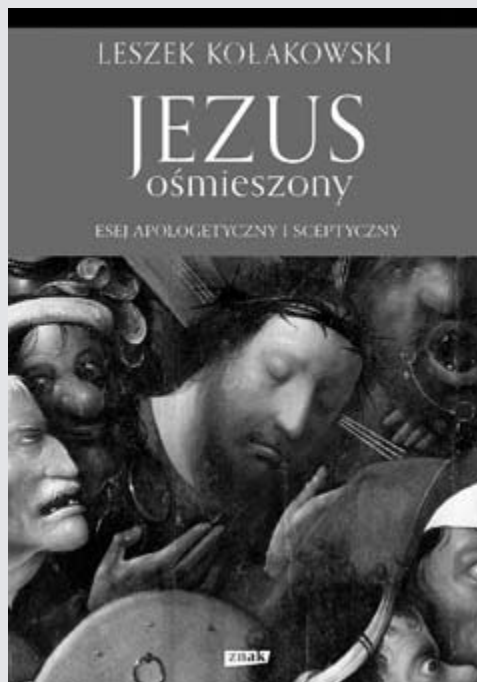
Instytutu Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR. Obojętnością wówczas filozofia materialistyczno-marksistowska, która odwoływała się do starożytnej greckiej filozofii przyrody, do materialistycznej koncepcji świata. Religię określano jako „opium dla ludu”. Sam autor określał się jako bezwyznaniowiec. Był jednym ze współtwórców warszawskiej szkoły historyków idei, profesorem, a od 1953 roku kierownikiem Katedry Historii Filozofii Nowożytnej na Uniwersytecie Warszawskim. W trakcie działalności naukowej przeszedł radykalną metamorfozę, która była wynikiem między innymi zmieniającej się sytuacji politycznej.

Symboliczną i przełomową datą w życiu Kołakowskiego był 21 października 1966 roku. W tym dniu wygłosił na Wydziale Historycznym UW wykład pt. „Rozwój kultury polskiej w ostatnim 10-leciu”, upamiętniający przełom październikowy, a dotyczący sytuacji panującej w polskiej kulturze. Nie jest to jednoznaczny początek nowej drogi Kołakowskiego, lecz raczej kulminacyjny punkt przemyśleń dotyczących zależności pomiędzy marksizmem a religią, oraz publiczne wyrażenie swych wniosków wynikających z tych przemyśleń.

W roku 1968 opuścił Polskę po tzw. „wypadkach marcowych”. Pod koniec życia głównym przedmiotem jego zainteresowań filozoficznych była historia filozofii, zwłaszcza od XVIII w., w tym doktryny liberalizmu, a także filozofia kultury oraz religii. Ostatecznie w swych rozmyślaniach

życiowych doszedł do przekonania, że nie jest ateistą, że jest chrześcijaninem. Sam zadał sobie pytanie: „Czy ktoś, kto się nie modli, nie jest chrześcijaninem? I co to w ogóle znaczy nie być chrześcijaninem w kulturze, w której żyjemy, i w której chrześcijaństwo jest rdzeniem?”

„Są ludzie nie ochrzczeni, nie chodzący do kościoła, by tam wiary zaczerpnąć, ludzie, którzy się nie modlą, nawet jeśli mają poczucie, że jest coś takiego jak głos Boga gdzieś z daleka do nas docierający. No, i gdzie jest ta granica, po której przekroczeniu już nie jesteś chrześcijaninem? - o to musisz zapytać księży, oni wiedzą lepiej, choć jest teraz wielu



księży traktujących chrześcijaństwo w sposób rozluźniony w porównaniu z dawniejszymi czasami”.

Leszek Kołakowski przeprowadza dialog między apologetą, a sceptykiem, z którego wynika historyczne znaczenie Jezusa dla naszej cywilizacji. To nie jest rozmowa między ateistą a wierzącym, ani między agnostykiem a teologiem. To piękny dialog prowadzony z samym sobą, to znaczy z osobą nie wierzącą, która przyjmuje nauki Jezusa jako podstawę różnych dziedzin naszej współczesności.

Autor wykazuje, jak wiele ludzkość skorzystała w swoim rozwoju dzięki Jezusowi i Jego nauce. Dlatego przetrwały cywilizacje oparte na dobroci i na pokonywaniu zła.

O książce L. Kołakowskiego wypowiadają się autorytety. Zachwyć się nią nasz wybitny reżyser Krzysztof Zanussi. Nazywał ją książką roku 2014 i polecił każdemu czytelnikowi, który stawia sobie refleksyjne pytania.

W świątecznej wypowiedzi kardynał Kazimierz Nycz też nawiązał do tej publikacji o Jezusie.

Przeczytałem wnikliwie książkę, zresztą podarunek gwiazdkowy, i bliska mi jest myśl zawarta w posłowiu autorstwa Jana Andrzeja Kłoczowskiego OP: ... „aktualność Jezusa, jak przedstawia Kołakowski, nie polega na tym, że wszyscy dziś myślą tak jak On, lecz właśnie na tym, że już zapomnieli, czego tak naprawdę nauczał”.

W konkluzji można wyprowadzić z tej książki następujące tezy: Leszek Kołakowski, wybitny filozof historii, przedstawia różnorakie obrazy Jezusa, jakie funkcjonują w naszej kulturze. Pisze: „Myślę o Jezusie jako o elemencie składowym cywilizacji europejskiej, myślę więc o Nim takim, jaki był postrzegany przez wieki, zgodnie z wyobrazeniami i stereotypami, które znane są nam wszystkim, nie tylko z lektury Nowego Testamentu, ale także z niezliczonych obrazów, figur w kościołach, kazań, kościelnej tradycji, a nawet kolęd. Myślę więc o Jezusie takim, jaki jest obecny w pamięci nas wszystkich, którzy wierzyliśmy i żyliśmy w tej kulturze”. Kołakowski odwołuje się do historycznego mitu jako formy przekazu o Jezusie i rozprawia się z przeciwnikami, którzy podważają istnienie Mesjasza. Osoba i nauka Jezusa - uważa - nie mogą zostać usunięte z naszej kultury ani unieważnione, jeśli kultura ta ma istnieć i tworzyć się nadal.

Ten esej filozoficzny, przystępnie napisany, na podstawie wielu przemyśleń autora, nie tylko przybliżył temat Jezusa, ale skłania do indywidualnych refleksyjnych rozmyślań o naszej kulturze i cywilizacji.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu

Leszek Kołakowski: „Jezus ośmieszony”. Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 2014.

opowiadania cielesne



Mam przed sobą opowiadania. Lubię ten gatunek literacki za jego zwięzłość i kunszt opisu, ale także z powodów praktycznych. Doskonale mi się je czyta podczas dłuższej podróży pociągiem lub autokarem

Próbowałem to zrobić z zakupionego przed laty, modnego wówczas e-czytnika, ale to zimne urządzenie pozbawiało mnie przyjemności obcowania z dobrym tekstem. Zabrałem więc z sobą w dłuższą podróż książkę, nieznanej mi wcześniej, węgierskiej autorki Krisztiny Tóth pt. „Pixel”. Starym zwyczajem przekartkowałem ją i powąchałem wewnątrz, później otwierałem na chybił - trafił i czytałem fragmenty tej prozy. Okazały się strawne, o poetyckim posmaku. Przypomniałem sobie informację z tylnej okładki, że te pozornie odrębne opowiadania łączą się i przenikają, tworząc powieściową całość. Z natury jestem ufny, ale tu postanowiłem to sprawdzić, bo z taką formą jeszcze się nie zetknąłem. Okazała się bardzo intrygująca: poszczególne rozdziały tej książki mają w nazwie części ciała (historia nosa, historia ręki, historia nogi, historia pochwy itp.) i na tej kanwie autorka snuje swoją opowieść. Ciekawy jest sposób narracji w opowiadaniu poszczególnych historii - różnicowanie ich, cofanie się i zmienianie wątku, zaskakujące porównania i odniesienia, niedopowiedzenia, skojarzenia...

„Mam śniadą skórę. Gdybyśmy tylko mogli przyjrzeć się jej z bliska, odkrylibyśmy, że posiada ona wszelkie możliwe odcienie ludzkiej skóry, ale ogólne wrażenie jest takie, że ma ciemną, aksamitną karnację. Z odległości jednego, może dwóch metrów widać tylko piksele, wyschnięte torebki herbaty, jednak gdy patrzymy z pewnej odległości, wszystko zlewa się w jedno ciało” - to cytat z opowiadania „Historia kolana”.

Po skończeniu tej ciekawej lektury w nocnym autokarze, trzydziści opowiadań - „Pixeli” przeistoczyło mi się w jedno piękne ciało znakomitej powieści. Nie bez znaczenia dla formy i treści tej książki jest to, że autorka jest uznaną poetką. A jej mądrość i zarazem skromność potwierdzają słowa podziękowań, które skierowała na końcu książki do kilku osób, za pomysły i rady przy jej pisaniu.

Na moje zauroczenie tą prozą ma też niewątpliwie wpływ młoda autorka znakomitego przekładu Klara Anna Marciniak.

Krisztina Tóth urodziła się w Budapeszcie w 1967 roku. Autorka zbiorów wierszy, tomów opowiadań, przekładów, a także szkiców i felietonów. Debiutowała w 1989 roku tomem poetyckim „Jesienne powiewanie płaszcza”. Laureatka wielu prestiżowych wyróżnień krajowych i zagranicznych, m.in. Nagrody Gravesa (1996), Józsefa Attili (2000), Gemini (2005), Sándora Márai (2007). Wydała jeszcze trzynaście innych książek. Ich przekłady ukazały się w: Bułgarii, Finlandii, Francji, Hiszpanii, Macedonii, Niemczech, Serbii i Słowenii.

Miejmy nadzieję, że Wydawca w niedługim czasie przybliży nam twórczość tej niezwykle interesującej pisarki, ponieważ prezesem Wydawnictwa Studio Emka jest rodowita Węgierka Pani Klára Molnar, której zależy na upowszechnianiu w Polsce kultury jej rodzimego kraju.

Leszek Kreft, Ustka

Krisztina Tóth „Pixel: „Tekst ciała”, tłum. Klara Anna Marciniak, Wydawnictwo Studio EMKA, Warszawa 2014, s. 207, oprawa twarda z obwolutą, cena 34.90 zł.



na obcej Ziemi



Za oknem strzępy dymu! To nie dym, to chmury. Jak pięknie. Wszystko maleje: pola, domy. Drogi jak niteczki. Widok przerywany kłębkami chmur. Coraz ich więcej. Zda się, że otulają mnie. One są luźne, a z ziemi wydają się takie zbite, skotłowane. Wcale nie są skotłowane. Są precudownie swobodne i piękne. Myślę: zapamiętać, zamknąć w oczach raz na zawsze te strzępy, ten obraz, bo się nie powtórzy



Lecę do Nowego Jorku. Mój pierwszy lot samolotem i od razu taki daleki. Na drugą półkulę. Jestem na Okęciu. Przerazona. Nogi się uginają, drży serce i jeszcze słyszę głos syna: wsiądziesz i okaże się, że samolot wpadnie w turbulencje, coś nawali i „...buum!” - Ależ nie jest tak źle. Samoloty nie spadają tak sobie! Częściej to samochody ulegają wypadkom! - to głos z tyłu, bo właśnie stoimy w kolejce do odprawy bagażowej.

- Wiem! - odpowiadam. A w gruncie rzeczy nie wiem i myślę po cichu, że może po prostu nie nagłaśnia się zbyt często katastrof samolotowych, żeby ludzie jednak latali?

Po odprawie bagażowej mam jeszcze trzy godziny do startu. Rozmawiam z mężem i synem, który już nie żartuje. Przypomina mi popularne zwroty angielskie. Nic z tego. Nie jestem w stanie powtórzyć za nim. Zirytowany rzuca: - to mów: „aj dont spik Inglisz!”. I ten zwrot, o dziwo, zapamiętuję. I jest on najczęściej powtarzaniem przeze mnie zwrotem. Wreszcie żegnamy się i idę do odprawy.

Kontrola dokumentów i przejście przez bramkę. Uważnie obserwuję zachowanie ludzi. Jak papuga naśladowuje wszystkie czynności. Przede mną już tylko jedna kobieta. Sprawnie wrzuca do pojemników żakiet, bransoletkę, torebkę i jeszcze małą walizkę - to bagaż podręczny. Idzie, pisk,... wraca, zdejmuję kolczyki, idzie, pisk,... wraca, zdejmuje srebrne sandałki, idzie, pisk,... wraca i zdejmuje pierścionki, idzie - przechodzi. Jestem przerażona, zapominam zdjąć biżuterię, tylko buty, torebkę i pasek wrzucam do pojemnika, idę... o dziwo, przeszłam, mając kolczyki, zegarek i wisiorek. Jestem skonsternowana, kiedy stwierdzam, że biżuterię mam na sobie i obyło się bez pisków.

Teraz znaleźć swoją „gate”. Jest. Wszystko tak, jak na bilecie. Usiadłam i głęboko odetchnęłam. Chyba pierwszy raz od momentu pożegnania z mężem i synem. Mogę się rozzejrzeć i poprzyglądać ludziom. Przy dużym oknie stoi chłopczyk, obserwując startujące i lądujące samoloty. Obok mnie dwie dziewczynki ze śmiesznymi kucykami bawią się lalkami. Szmer rozmów. Za mną ktoś opowiada o miejscach zagłady, ze zwiędzania których właśnie wrócił. Oglądam się dyskretnie. Przed siedzącymi pasażerami stał wielki facet. Rude włosy obcięte na jeża i mnóstwo piegów na twarzy. Niebieskie oczy powiększone grubymi szkłami biegają od jednego pasażera do drugiego. Zamaszyście gestykulował, a z jego ust padały słowa, bo nawet nie zdania: „holocaust”... - Jezus to arabski Żyd. Arabski Żyd? I dalej w tym stylu - stwierdzenia, hipotezy, strzępy wiadomości. Przestałam go słuchać. Patrzę na płytę lotniska, obserwuję samoloty. Moje myśli miotają się gdzieś między euforią a przerażeniem.

Wreszcie jestem w samolocie. Godzina 12.40. Start. Ruszamy bardzo wolniutko - tak wolno, że chyba szybciej szłabym pieszo. Nie mogę się doczekać, kiedy oderwiemy się od ziemi! Jakże to uczucie?. Przyspieszenie..., szarpnięcie..., jeszcze jedno szarpnięcie.... Świsł w uszach, bardzo nieprzyjemny. Zamykam oczy, nie pomaga..., otwieram i przez okienko dostrzegam, że wszystko maleje. Jesteśmy w powietrzu. Za oknem strzępy dymu! To nie dym, to chmury. Jak pięknie. Wszystko maleje: pola, domy. Drogi jak niteczki. Widok przerywany kłębkami chmur. Coraz ich więcej. Zda się, że otulają mnie. One są luźne, a z ziemi wydają się takie zbite, skotłowane. Wcale nie są skotłowane. Są precudownie swobodne i piękne. Myślę: zapamiętać, zamknąć w oczach raz na zawsze te strzępy, ten obraz, bo się nie powtórzy.

Już jesteśmy na wysokości jedenastu tysięcy metrów. Ponad chmurami, które od góry są gładkie jak zamarznęte uśpione jezioro w Karwnie. Chciałoby się wyjść na tę gładką taflę, pospacerować, bo prędkości samolotu nie odczuwa się zupełnie, jakby stał w miejscu. A ponad nami niebieskie, czyste niebo. Niesamowicie, precudownie niebieskie!

Czasami zdarzy się przerwa między chmurami i wtedy widzę...? To chyba Półwysep Jutlandzki? A może fragmenty Wysp Brytyjskich? Zielone plamy na tle ciemnoniebieskiego morza. I znów chmury. Ale w przerwach chmur widać Atlantyk, prawie granatowy. Niesamowite wrażenia. Islandia - wyspa w ciemnym oceanie. Na brzegach zielony pas, a w środku biała czapa. Zapiera dech. Nie mogę się napatrzeć. Zupełnie wyleciało mi z głowy „buum”! Niebo czyste, szmaragdowo-niebieskie ze złotymi smugami na horyzoncie - wszak lecimy za słońcem. Gdzieś daleko niewielkie chmury różowo-złotopomarańczowe. Jednostajny szum silników działa usypiająco. Co chwilę zapadam w drzemkę, budząc się z obawą, że coś mnie ominęło. To samo. W zasadzie chcę już wysiąść. Chcę porządnej kawy i papierosa. A tu dopiero 19.00. Do lądowania jeszcze około dwóch godzin. Lecimy nad Labradorem. Pięknie.

Zbliża się 21.00. Nareszcie podchodzimy do lądowania. Samolot zatacza koło nad Nowym Jorkiem i to jest odczuwalne. Dzwonią stateczniki na skrzydłach, które pochylają się raz w dół, raz w górę. Narasta gwizd w uszach. Już nic nie słyszę. Opadam. Jesteśmy na ziemi, tzn. koła dotknęły płyty lotniska. To lotnisko JFK. Samolot się zatrzymuje. Odpiąć pasy i zabrać swoje bagaże podręczne. Nogi jakieś takie niesprawne, ciężkie. Rozruszać je.

Na halę odpraw wchodzimy grupą i... to niesamowite. Setki ludzi stojących, przeciskających się i kolejki do stanowisk kontroli paszportowej. Szybko liczę - trzydzieści dwa stanowiska. Posuwamy się wzdłuż taśmy. Kierują nami urzędnicy w uniformach - czerwone marynarki szamerowane błyszczącymi guzikami, oznaczeniami i czarne spodnie z lampasami. To przeważnie czarni.

Szybko przeliczam długość kroku, długość szpaleru między słupkami, ilość słupków do oddalonego stanowiska. W przybliżeniu wychodzi mi, że to około sześciu kilometrów. I chyba się nie pomyliłam, bo droga zajęła nam półtorej godziny, a przecież nie stało się bez ruchu.

Jeszcze do mnie nie dotarło, że jestem na obcej ziemi, wśród obcych ludzi i nie znam języka. Na razie wokół Polacy z samolotu. Powoli jednak uszy się odklejają i zaczynam słyszeć, nic nie rozumiejąc. Wieża Babel. Obok idą czarni, ciemno-czekoladowi, popielaci i żółci. Wysocy ponad miarę i niscy wyjątkowo. Dwie kolejki dalej grupa mężczyzn w futrzanych czapkach z okazałymi pejsami. Poza tym bajecznie kolorowy i cudacznie poprzebierany tłum! Discovery na żywo! Dopiero teraz dociera do mnie, jaka przygoda mi się trafiła.

Boję się. Przede mną młody człowiek mówi po polsku, chwając się znajomością angielskiego. Jest pewny siebie, żartuje. Szczęśliwy, że stoi na matce - Ziemi. Poczuję ulgę - w razie czego, on mi pomoże.

Dochodzimy prawie jednocześnie do sąsiadujących bramek. Jestem spokojna i skoncentrowana. Podaję paszport, odiskam palce, nawet rozumiem prośbę urzędnika o powtórzenie „czyiż”. Koniec. A młody człowiek? - stracił rezon i tylko gapił się na urzędnika. Podpowiadam mu, by podał imię, ktoś mówi mu to samo. A ja spokojnie idę do odprawy bagażowej. Podaję paszport, kwit bagażowy i w duchu się modłę, by już nic ode mnie nie chciano. „O'key!” - słyszę i jeszcze „thank'you”. Odpowiadam - „thank'you, very much”.

Odbieram swoją walizkę i spieszę na zewnątrz, żeby tylko Ala czekała. Jest. Piszczy, krzyczy i klaszcze. Tym sposobem zwraca moją uwagę, bo tłum oczekujących jest niemożliwy. Witamy się pochlipując. Podchodzi strażniczka, o coś pyta, Ala odpowiada. Wychodzimy. Jest godzina 22.30 polskiego czasu. Zapalam papierosa, Ala wysyła SMS do Polski: „mam ją”. Wsiadamy do taksówki - flu...flu! To lincoln.

Zaczęła się moja wielka przygoda.

Jest przepiękny, słoneczny dzień. Trochę łążyliśmy po sklepach, trochę po ulicach, ale przede wszystkim spacerujemy po Central Park, w okolicach muzeum. Muszę poznać topografię terenu, żeby nie błądzić, bo też tu będę sporo przebywać, a park jest ogromny.

Siedzimy na ławce z leniwie wyciągniętymi nogami i przyglądamy się sesji zdjęciowej jakiejś pary młodej. To czar-ni. Piękna sceneria, przy fontannie, a w tle soczyście zielone drzewa. Ala robi ukradkiem zdjęcia swoim aparatem. Młodzi prawie tradycyjnie ubrani - ona w białej długiej sukni z trenem, on w jasnym garniturze. Wokół druhn w jasnych, jednolitych sukniach, również długich. Drużbowie w ciemnych garniturach. Przy młodych kręcą dzieci - dwóch chłopców w garniturach i sześć dziewczynek w falbaniastych sukienkach z wielkimi kokardami wiązanyymi z tyłu. Pamiętam takie sukienki z dzieciństwa, szyfonowe z paczek UNRRR.



Tutaj młoda decyduje o stroju druchen i je najczęściej kupuje, oczywiście po konsultacji ze specjalistką domu mody ślubnej. Nikt nie może przyćmić w takim dniu panny młodej.

Do naszej ławki zbliża się młody człowiek popychający wózek inwalidzki, na którym siedzi starsza kobieta z nogą w gipsie. Zatrzymują się. Młody człowiek ma brodę, dość długie skręcone w lok pejsy i jarmułka na głowie. To ortodoksyjny Żyd. Kobieta na wózku zagaduje nas. Pyta o nasze poncza, które z córką mamy na sobie - sama je zrobiłam. Stwierdza, że są przepiękne i wyróżniają nas z tłumy. Sama też trochę dzierga, ale niezbyt wprawnie. Ala pokazuje na mnie. Odezwałam się. Jakież było nasze zdumienie, gdy kobieta krzyknęła: - Polska? - Zaczęłyśmy rozmawiać. Ona usiłowała mówić po polsku. To język ojczysty jej rodziców. Okazało się, że matka pochodziła z Łodzi, a ojciec z Sosnowca. Oboje spotkali się w łódzkim getcie. Dzięki pomocy dobrych ludzi, udało im się przetrwać. Po wojnie wyjechali do Hamburga, a stamtąd na początku lat pięćdziesiątych emigrowali do USA. Ona urodziła się jeszcze

w Hamburgu. W domu rodzice rozmawiali po polsku. W Stanach kończyła szkołę, studia. Po śmierci rodziców przestała używać języka polskiego. Mąż, rodowity Amerykanin, lekarz z prywatną praktyką, ona wykładowca logopedii na uniwersytecie. Powoli zapominała. Rozumiała, co mówię, ale sama mówiła niegramatycznie, niemiłosiernie kalecząc język. Nawet ona wybuchała głośnym śmiechem, słuchając się.

Dopytywała o kraj swoich rodziców. Czasami docierały do niej jakieś informacje, ale niespecjalnie się tym interesowała.

Rozmawialiśmy około dwudziestu minut, kiedy się z nami już żegnała, powiedziała, że kupi sobie polską książkę i zacznie czytać. Zwróciła się też do syna z pytaniem, czy chciałby odwiedzić kraj swoich dziadków. Nie wiem, co jej odpowiedział, ale jeszcze wychyliła się z wózka, machając do nas ręką i uśmiechając się życzliwie.

Myszę, że obudziła się w niej nostalgia, tęsknota, by poszukać swoich korzeni. Nie ojczyzny, bo ojczyzną jest religia, przepisy Prawa - świątynią. Izrael to ziemia dana im przez



Boga i mają obowiązek przynajmniej raz w życiu ją odwiedzić. Wszystkie pozostałe kraje to tylko zesłanie.

To nie jedyne spotkanie z Polakami. Pomijając Green Point - enklawę Polaków, w Nowym Jorku jest wielu emigrantów. I wszyscy wierzą, że uda im się spełnić mit „od pucybuta do milionera”. Może?

Aby ogarnąć Nowy Jork najlepiej patrzeć na miasto z bardzo wysoka. Toteż zaczęliśmy od wizyty w kawiarni ROOFTOP na dachu dwudziestopiętrowego wieżowca przy 5 Av. Chciałyśmy wypić kawę i popatrzeć z góry na miasto. Widok zaiste wspaniały, ale dostać się do stolika przy barierce, to trzeba mieć rezerwację. Ludzi tłum - chodzą fotografują, popijają, bo o jedzeniu czegokolwiek na stojąco mowy nie ma. W tym tłumie uwijają się kelnerzy, nosząc na tacy napoje. Ponieważ nie mogłam precyzyjnie się do jakiegokolwiek lady, żeby odstawić szklanekę, poszturchiwana, podpychana, zakłębłam po polsku, mniemając, że nikt i tak mnie nie zrozumie. Jola spojrzała na mnie z przyganą. Jeszcze nie przebrzmiało echo moich słów, gdy usłyszałyśmy okrzyk:

- O, matko! Polacy! - Poczułam ciężar na plecach. Ktoś mnie obejmował. Tak poznałyśmy Patrycję. Szybko odwróciła się do koleżanki, wcisnęła jej tacę z brudnymi naczynikami, a nas pociągnęła w wolną przestrzeń, w miejsce, gdzie mogła wchodzić tylko obsługa i z marszu zaczęła trąkotać:

- Ależ ja się cieszę, bo tu rzadko można spotkać kogoś mówiącego po polsku - mówiła rozgorączkowana. - A tu aż jest was trzy dziewczyny! Przyleciałyście z Polski?

Ala zaczęła jej odpowiadać, stosując zasadę: „minimum słów, maksimum treści”.

- Mama tak, a my dwie tu mieszkamy i pracujemy. Skończyłyśmy studia. Ja pracuję w Muzeum Historii Naturalnej, a Jola... - Patrycja nie pozwoliła skończyć, tylko zapytała, czy mogłaby jej załatwić bilety wstępu, i pokazać jej to muzeum, bo dużo o nim słyszała, ale jeszcze go nie zwiedzała.

Ala, że... - Oczywiście, tylko daj mi namiary, to zadzwonię, kiedy będziesz mogła przyjść. A teraz opowiadaj. Córka wie, że takie osoby, stęsknione za polską mową, za swojakami, muszą się najpierw wygadać. No więc Patrycja prawie na jednym wydechu opowiedziała, że jest w Stanach już sześć lat, chodzi do szkoły językowej, pracuje dwa dni jako kelnerka właśnie w tej kawiarni i cztery dni jako modelka w ekskluzywnej firmie obuwniczej. Prezentuje buty. A tak ogólnie to tęskni za mamą, ale do Polski nie wróci. Przynajmniej na razie. I dopiero po wygadaniu się, Patrycja zaczęła słuchać i pytać nas, skąd jesteśmy i co robimy w tej kawiarni. Tu wszystko jest drogie. Niestety, nie dane nam było wyjaśnić, że to na cześć Ali, która ukończyła studia w NYIT (New York Institute of Technology) i ja się znalazłam w Nowym Jorku na zaproszenie władz uczelni na Ceremoniy of Graduation. Musiała wrócić do pracy.

Aneta spod Sanoka, kelnerka w niewielkiej meksykańskiej restauracji, wyjechała jako babysitter i została. Ma statut studentki szkoły językowej już piąty rok. Pracuje siedem dni w tygodniu. Trochę jako kelnerka, trzy dni jako opiekunka dzieci, wieczorami łączy godziny opiekuńcze z Internetu, czasami zajmuje się psami. Ale to raczej domena facetów. Właśnie Wojtek - okazjonalnie również kelner w tej restauracji - najczęściej zajmuje się wyprowadzaniem i codzienną pielęgnacją psów. To bardzo dobrze płatna fucha. Opowiadał, że w godzinę może zarobić setkę. Aneta zarobione pieniądze wysyła do Polski. Pomaga rodzicom, którzy są na emeryturze. Jeszcze nie wie, czy wróci. To zależy, czy jej się uda ułożyć sobie tu życie. Podoba jej się wolność wyboru. Zawód kelnerki to pensja z napiwków. Wynajmuje pokój z koleżanką. A Wojtek gromadzi pieniądze na własną firmę, tylko nie może się zdecydować - w kraju, czy tu.

Sebastian wylosował zieloną kartę w konkursie organizowanym przez ambasadę w Polsce. Przyleciał. Zatrzymał się u znajomych i zatrudnił na budowie. Po dwóch latach wrócił do kraju. Nie znalazł pracy. Więc poleciał z powrotem. Teraz założył rodzinę, pracuje na budowie po dziesięć godzin. Odkłada na dom, który upatrzył sobie na przedmieściu Nowego Jorku. Za rok go kupi, wyremontuje i zamieszkają. Potem otworzy własną firmę. Do ojczyzny... Może wróci na stare lata.

Tadeusz po piętnastu latach oszczędzania wrócił do Polski. Założył firmę i zbankrutował. Po dwóch latach nie zostało mu nic, więc wrócił do USA. Teraz pracuje jako ochroniarz w Museum of American Naturaly. Jest zgorzkniały i nie ma planów na przyszłość. Emerytura? Jeśli ją dostanie, a w Polsce nie zajdą zbyt duże zmiany, to za nią w ojczyźnie przeżyje.

I wielu jeszcze spotkałam mniej lub bardziej szczęśliwych. Generalnie to ludzie, którzy nie bardzo wiedzą, gdzie powinni żyć. Szukają swego miejsca na świecie. Ale najważniejsza zawsze była ich reakcja: - Polacy?! i... Życie jest przynagoda... (cdn.)

Teresa Nowak, Łupawa



tajemnica starego zegara

Laura, seniorka mojego rodu, pomimo że była babcią przybraną, była też ciocią, a później po prostu babcią Laurką. Wszyscy bardzo ją szanowali i liczyli się z jej zdaniem

Ślub Laszlo Rocha Budzyn z Laurą Marianną z Chałajów - na podstawie zachowanych dokumentów w parafii lubelskiej - odbył się 15 sierpnia 1880 roku w święto Maryjne. Dokumenty, które zostały nam przedstawione z archiwum, były już bardzo nieczytelne i po przetłumaczeniu z łaciny, potwierdziły zawarty tam związek oraz zapis chrztu ich dzieci Jana, Franciszka, Józefy i Anny.

Laura Marianna Budzyn w dniu 15 sierpnia 1880 roku, odmówiwszy poranne pacierze, wyciągnęła z kufra babci Marii strój weselny, który na krosnach własnoręcznie utkła jej ukochana babcia. Na tóżku rozłożyła spódnicę, halki, staniczek, pantalon i najważniejszy w stroju weselnym gorset wyhaftowany srebrnymi cekinami.

Obok Inianej bielutkiej koszuli ułożyła sznur srebrnych koralii. Kilkakrotnie gładząc poszczególne elementy stroju uśmiechała się w kierunku wiszącego nad jej tóżkiem portretu dziadka i babci, a i oni zdawało się rozpromienieni porannym promieniem słońca z błyskiem w oku patrzyli na szczęśliwą Laurę. Laura podeszła do komody, aby wyjąć prezent od matki chrzestnej. Była to piękna kolorowa chusta zwana „malinówką”, która będzie zdobiła jej głowę w tak ważnym dniu.

- Mam chyba wszystko - pomyślała i w tym momencie usłyszała śmiechy za drzwiami i przyspiewki druhen. Przyszły stroić pannę młodą.

Pan młody w czarnym surducie zdobionym kolorowymi szlakami i koszuli, którą otrzymał od Laury w dniu zrękowin, prezentował się okazale. Laszlo stanął przed swoją wybranką, szurnął po węgiersku obcasami i w głębokim skłonie uchylił swój odświętny sromkowy kapelus z kolorowym tkany otokiem. Uroku dodawały mu szuwaksem czernione okazałe wąsy.

Uśmiechnął się szeroko pokazując piękne białe zęby i podał ramię swojej damie serca, aby poprowadzić ją do wystrójonego, jak ona sama, powozu w cztery kare konie.

Sprosiny były na sobotę, a ślub przy bytności zgromadzonych wiernych, krewnych i rodziny pobłogosławił kanonik imć ks. Karpiński - takowy zapis w oryginale sporządziła babcia Rozalia na podstawie wspomnień ustnych Laury.

Po ceremonii zaślubin odbyło się wesele w karczmie. Jadła i napitku było do woli. Gościom trzy dni przygrywała muzyka jezuicka. Młodzi z małą Rozalką wyjechali w podróż na zaproszenia stryja do Łodzi na Stare Rokicie. Tak im się tam bardzo spodobało, że kiedy Laszlo przestał terminować u kowala zdając stosowne na ten czas egzaminy, podjęli decyzję przeprowadzki do Łodzi, sprzedając uprzednio kamienicę w Lublinie.

Laura, seniorka mojego rodu, pomimo że była babcią przybraną, była też ciocią, a później po prostu babcią Laurką. Wszyscy bardzo ją szanowali i liczyli się z jej zdaniem.

Ataki epilepsji, na które wcześniej cierpiała, od dnia ślubu nigdy się nie powtórzyły i babcia Maria, która jej wcześniej podczas proroczego snu pomogła, więcej się jej nie przysniła.

Mając prawie dziewięćdziesiąt lat, ciężko zachorowała i wkrótce zmarła, przeżywając o pięć lat dziadka Laszlo, zwanego przez wnuki dziadkiem Roszkiem.

Życie jej i pradziadka odliczał intrygujący całą rodzinę stary zegar z kurantami, przywieziony z Kurowa. Stał on potem w jednym z pokoi gościnnych na Rokiciu w Łodzi. Zegar miał oszklone, zdobione akantem drzwiczki, które były zamknięte małym kluczykiem chowanym w sekretne, znane tylko prababci miejsce.

W środku zegara, na dolnej półeczce leżały wszystkie ich pamiątki rodzinne ze starannością ułożone w pożółkłych kopertach. Były tam listy i fotografie, które z czasem też nabrały jesiennego jak ich życie odcienia brązu.

Tajemnicą zegara było to, że zawsze zatrzymywał się w godzinie śmierci członków rodziny. Tak było, kiedy Józia i Anna umierały na czerwonkę, a Laszlo został kopnięty przez konia w brzuch, nie odzyskując przytomności. Podobnie też się stało, kiedy odchodziła z tego świata Laura. - Zegar zatrzymał się na godzinie 22 minut 15 i w tym momencie pękła szybka w kilku miejscach. Być może babcia Laury Maria dała tym samym ostatni znak, że jest już ze swoją ukochaną wnuczką.

Zofia Maria Smalewska, Ustka

(Fragment sagi rodzinnej pt. „Laura”.)

OPowieść RODZINNA



jan stanisław smalewski - trzy wiersze o miłości

WYZNANIE JULII

*Ma się na wiosnę Tracą ostrość
szczegóły krajobrazu Pachnie
świeżością Julia marzy
o wielkiej miłości - powinna
przyjść wreszcie*

*Wielka miłość - pojęcie nieostre
Mrok światło kolory zapachy
- Julia wszystko to pakuje
do jednego worka
Spełni się to dobrze*

*Wielka miłość jak wielkie pieniądze
a tu żyć trzeba z nauczycielskiej pensji
Nawet jej nie stać
na porządny lakier do paznokci
choćby z telewizyjnej reklamy*

*Ma się na prawdziwą miłość
Wyostrzają zapachy podmiejskie ogrody
One też marzą o wielkiej miłości
- zapożyczone okryte niepokojem
Razem z Julią czekają*

PRZEZNACZENIE

Nie pyta o imię - nieważne Siedzi
na kamieniu i wciąż patrzy w fale Sama teraz
nie pamięta jak na nią wołano - dziewczyna
porzucona dziewczyna pusta muszla

A morze sapie - fala wciąż uderza Czasami
przyśpiesza jak spóźniony pociąg
Nie wie dlaczego czy na pewno trzeba
rzucić się w topiel zabierając przeszłość

Nie pyta ją o imię Jego imienia też nie zna
Nawet nie wie dlaczego i on tutaj siedzi Po co
to morze i skąd ta dziewczyna Które z nic
pierwsze kamień swój podniesie

REFLEKSJE JULII

Jeszcze tylko ten kącik z lalkami
- usunąć kurz przewietrzyć
Może coś poprawić

Jeszcze tylko troszeczkę megalomanii
- zasuszony bukiet fiołków
kokarda z warkocza

Jego ślubna muszka
zapinka do mankietu i urwany guzik
- zawsze miał kłopot z guzikami

Jeszcze tylko ta czarno-biała fotografia
- jakie miał oczy? Jego miłość
też zmieniała barwy

Ech wy moje lalki
dobrze jest mi z wami Pamiętacie go?
Wiecie dlaczego nas zostawił?

Zygmunt Jan Prusiński - wiersze dla ewy



To jest kilkuletnie studium
a jeśli zda ten egzamin
otrzyma ode mnie - dyplom.

9.12.2014 - Ustka
Wtorek 14:00

RANDKA O SIÓDMEJ RANO

Byliśmy umówieni
by spojrzeć sobie w oczy
mniej słów - nie rozpraszać
to co jest ważniejsze
na chwilę zamienić się
w dwa drzewa.

Eskapizm -
poukładać uczucie
wdrzeć się głębiej
udoskonalić to co mamy
dla siebie
podarować ciało dla ciała
bo człowiek bez miłości
nie istnieje.

Rozgrzewam myśl o tobie
jaki muszę być silny
żeby przetrwać tę rozłąkę
niczym więzień
choć żyję na wolności.

Skomplikowany łańcuch słów
ciche skargi brzmiały strunami
gram na gitarze „Poranny blues”
bo te ranki są bolesne
kiedy budzę się po nocy
a ciebie nie ma -

tak zwyczajnie
wchłaniać twój zapach...

8.12.2014 - Ustka
Poniedziałek 12:21

GITARA MORRISON

Kupuję dzisiaj po południu
by powrócić do muzyki
taki byłem wyobcowany,
szeleściła tęsknota
jak do mojej kobiety,
teraz będę jej śpiewał i grał
ballady do snu - i budził o świcie.

Obecnie Ewa jest chora
grypa ją dopadła,
przekazała swoją radość:
„To wyzdrowieję przez tę gitarę”...

Miłość i gitara
ważny szczegół mego życia,
rozwinę się pod jej skrzydłami
- jest taka szczególna
umie dobrać miłosne słowa.

Mam jeden lęk -
czy będę mógł ponownie
komponować muzykę,
tyle lat nie pisałem...
Poezja mnie dopadła i skradła -
muszę teraz połączyć

te dwa bieguny i zapalić światło
w twoim sercu.

12.12.2014 - Ustka
Piątek 9:57

OCZYSZCZANIE DUSZY

Poprzez miłość oczyszczam
całą przestrzeń
kocham
deszczową panienkę
córkę wiatru
królową wydm
kochankę księżycy
a zatem w jednej kobiecie
mam jakby cztery kobiety
- i słusznie.

Do tej pory jeszcze nie wybadałem
która jest lepsza
to trzeba czasu i skupienia
choćby przegładnąć stopy
czy pięty ma zadbane
jak się całuje
i jak odbiera mnie w łóżku.



adriana zientarska - słupsk

Urodziłam się w 1975 roku w Dębnicy Kaszubskiej. Mieszkam obecnie w Słupsku. W marcu 2005 roku ukończyłam Uniwersytet Szczeciński na Wydziale Zarządzania i Ekonomiki Usług. Mam wiele zainteresowań, jednym z nich od paru lat jest pisanie wierszy. (z)

POPULACJA POLSKA

Wies wiosną - niczym pierwsze promyki słońca,
Rzucające na wiejskie domostwa światło.
Ogrzewają wszystko wokół,
W tym ziemię naszą polską.

Zieleń budzi się z zimowej pierzyny,
Odrzucamy pierwsze plewy.
I widzimy wszystko rośnie wokół,
Jak winorośl, niczym młode polskie dziecię.

Wies latem - jak kolorowe kobierce kwiatowe,
Zaścieliły dywanami łąki.

Sery własnej roboty, wyrabiane,
Niczym Polak w kwiecie wieku, jak chłop dojrzały.

Pokryły się zielenią korony drzew,
Czasem dzieciół zastuka, skowronek zanuci.
Pieśń o urodzaju i o urodzie wszystkich
Polek gotowych pójść za mąż.

Wies jesienna - jak kłosa żyta i pszenicy na polach,
Kołyszące się na wietrze zwiastujące dożynki.
Drobne winogrona czekające na zbiory
Niczym dobre stare wino, niczym stary człowiek.

Bogactwo kolorów, niczym kolaż barwny,
I malowane pejzaże złotych łąków.
Zanim przyjdzie zorać krajobraz ten cały
Jak zmarszczki porane na twarzy.

Wies zimą - niczym dziewica bielą okryta,
Zwiastująca nadchodzący nowy rok.
Konie zwinnie ciągną sanie,
Jak i w zaprzeszły rok.

Zaspy białe, płatki śniegu tańczące na wietrze,
Niewinność wkracza w nadchodzący rok.
Zimno wymrozi wszystko wokół,
A tożyska wiosną będą pękać w szwach.

ireneusz borkowski - słupsk

Urodziłem się w Słupsku w 1965 roku i zaraz po urodzeniu rodzice wywieźli mnie do Sławoborza, do niewielkiej miejscowości między Białogardem a Kołobrzegiem. Tam właśnie mieszkali moi dziadkowie. To oni opiekowali się mną do siedmiu lat, zanim przekroczyłem próg szkoły. To oni wiele mnie nauczyli, opowiadali bajki, zabierali do lasu, i tam właśnie poznałem przyrodę i pokochałem wieś. Do szkoły podstawowej poszedłem już w Słupsku i od tamtej pory tu mieszkam, ale wspomnienia pozostały, bajki, opowiadania i obcowanie z przyrodą. (z)



SZCZAWIOWA ŁĄKA

Czerwone maki już nie kwitną na tej łące,
gdzie chodziliśmy z babcią zrywać szczaw.
Już ich nie ma, zaojali!
Babcia dawno odeszła - do innego świata.
Minął - wspomnienia zostały,
dziecinnych kolorowych dni.
Przecież jeszcze niedawno byłem taki mały,
dziś we wspomnieniach ten obraz tkwi.
Czerwone maki, babcia i zupa szczawiowa,
niezapomniany zapach szczawiu, specyficzny smak.

Brakuje mi dzisiaj babci
i tamtej szczawiowej, tamtych maków.
Tamtego dzieciństwa.

POD KOŚCIOŁEM

Kolejny raz ktoś pod kościołem stanął po jałmużnę.
Wychodząc zatrzymałem się na chwilę,
upatrując się w niego, próbowałem ocenić.
Zastanawiałem się i rozważałem,

walcząc z własnym sumieniem:
dać czy nie dać?
Może przepije.
Jest trzeźwy,
może zwyczajnie biedny?
A może nie miał dziś za co pić?
Może dlatego jest trzeźwy?
A może sam Chrystus w przebraniu żebraka tu stoi?
Wszak nigdy go tutaj wcześniej nie widziałem.
Nie znam odpowiedzi.
Dałem i wiem:
ani trochę nie zbiedniałem.

CZARNA NOC

Odgłos rozbijającej się o podłogę szklanki.
Krzyk!
Zrywam się,
biegnę do pokoju obok.
Zapalam światło.
Ona stoi nieruchomo w jednym kapciu,
patrzy zdziwiona.
To moja matka

chora na alzheimera.
Czy chciała mi coś powiedzieć?
Milczy
trzymając w zakrwawionej dłoni kawałek szkła.

Milczy i patrzy.
Wymawiania słów dawno już zapomniała.
Ten... tego... tam...
Miota się szukając odpowiedniego słowa.
Krzyczy:
KURWA!!
Przekleństwa pozostały w jej ogołoconej pamięci.

Kolejna noc nieprzespana.
Wcześniej były gorsze.
Już się skończyło!
Odeszła
tam, gdzie nikt nie choruje.
Budzę się czasami w nocy,
Zrywam i biegnę do pokoju obok.
Stoję nieruchomo
A tam cisza...
Wydawało mi się, że słyszałem
odgłos rozbijającej się o podłogę szklanki.